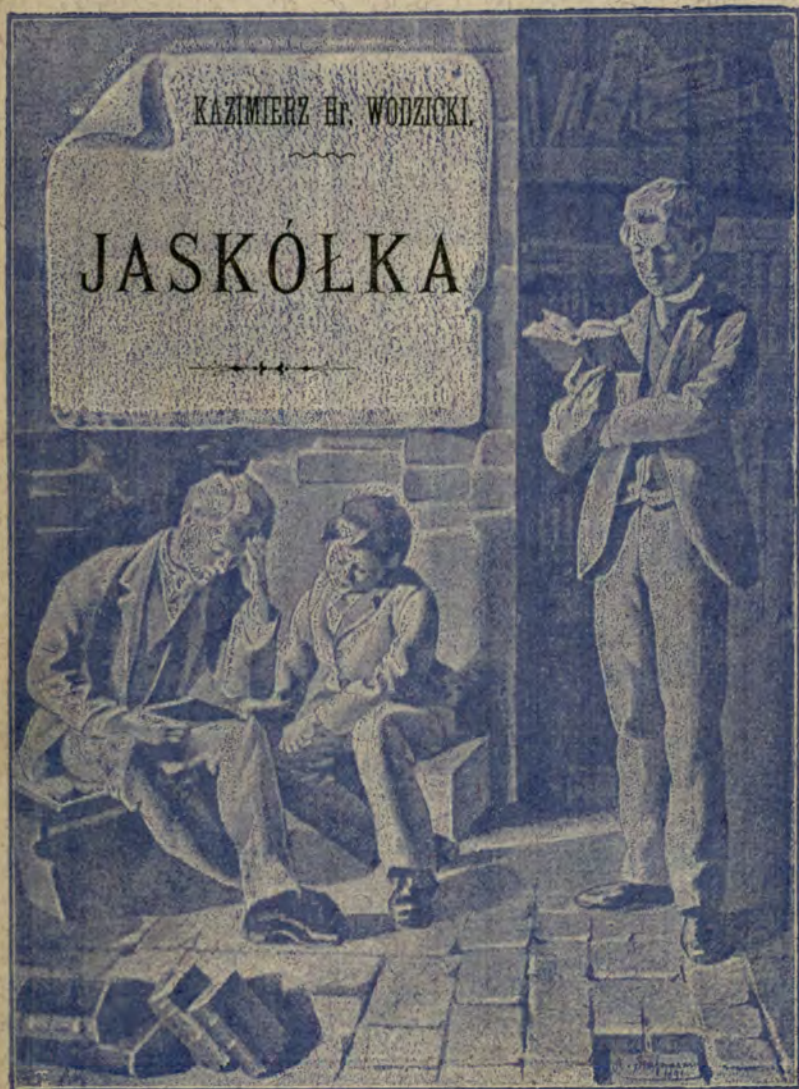


Wiedrichi.
Zaskilka

Kupno w Wiedrichi
1. 1. 1870

X. 1062/II

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH WE LWOWIE.



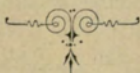
3.

BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

JASKÓŁKA

PRZEZ

KAZIMIERZA HR. WODZICKIEGO.



WE LWOWIE.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH.

1891.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Inw. Nr. K. 1062/II

ZA ZEZWOLENIEM RODZINY

ś. p.

KAZIMIERZA WODZICKIEGO.

(Rzecz podana w skróceniu).

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1062/I



1000000000237

KAZIMIERZ Stanisław Michał tr. im. hrabia WODZICKI, najmłodszy syn Józefa Wodzickiego i Petronelli z książąt Jabłonowskich, urodził się dnia 26. września roku 1816. Z domu już wyniósł zamiłowanie gruntownej nauki i sumiennej pracy, przedewszystkiem zaś gorące przywiązanie do rodzinnej ziemi. Już też za młodu okazywał wielki pociąg do nauk przyrodniczych w ogólności, z szczególnem zaś upodobaniem badał życie i obyczaje naszych ptaków krajowych. Zamiłowany w tym przedmiocie, wczesnie wszedł w bliższe stosunki z głośnymi za granicą przedstawicielami tej nauki, a z czasem takie sobie zdobył imię, iż został członkiem kilku naukowych towarzystw we Francyi i w Niemczech.

Prace te naukowe nie przeszkadzały mu bynajmniej w zajmowaniu się gospodarstwem, które uprawiał zawsze z taką znajomością rzeczy i z tak szczerem przywiązaniem do ojczyznoznego zagonia, iż słynął jako jeden z najlepszych w kraju gospodarzy. (Pisał nawet w tym kierunku, n. p. *O hodowaniu owiec*, Lwów, nakładem galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, 1853.). Próbował też i życia publicznego, w sejmie krajowym i w radzie państwa; ale wkrótce, widząc się tam nie w swoim żywiole, a przywiązany do cichego żywota polskiego ziemianina, usunął się w zacisze wiejskie, do Olejowa w powiecie złoczowskim. Wszelako nie uchylając się zupełnie od pracy publicznej, piastował urząd prezesa złoczowskiej rady powiatowej.

Umarł w Olejowie dnia 22. października r. 1889.

Zawód swój literacki rozpoczął jeszcze w roku 1850. rozprawą p. t. *Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie* (w r. 1850.). Leszno 1851. — W tym samym czasie wydał: *O wpływie, jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak*

leśne... Lwów, nakładem galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, 1851. — W kilka lat potem wyszła pierwsza w tym kierunku większa praca jego: O sokolnictwie i ptakach myśliwskich, Warszawa, 1858.

Już te pierwsze dzieła zwróciły na niego uwagę powszechną; ale głośne imię wyrobił sobie dopiero zapiškami ornitologicznymi, które wydawał bądźto w czasopismach naukowych (n. p. w Przeglądzie polskim, w Łowcu), bądź też osobno. W ten sposób wyszły zapiski o bocianie, jaskółce, jastrzębiu, kuku, wróblu, kukułce, kuropatwie, słońce (w Łowcu) i o orłach polskich (Lwów, 1886).

Oprócz tego, jako jeden z najznakomitszych w kraju myśliwych, wydał bardzo zajmujące Wspomnienia z życia łowieckiego (Lwów, 1880).

O jego stanowisku w literaturze narodowej pięknie pisze Stan. hr. Tarnowski w wspomnieniu pośmiertnem (Przegląd polski 1889. w zeszyte listopadowym): »W historii nauk przyrodniczych i ich literatury w Polsce z pewnością będzie on miał zawsze swoje miejsce osobne i znaczne... Znawcy świadczą, że jego prace mają potrzebną ścisłość naukową; niezawcy znajdują w nich niezwykły wdzięk rozumu, dowcipu i sposobu pisania. Jako badacz jest on głównie może psychologiem ptaków i ze szczególnym darem spostrzegawczym, z dziwną pod tym względem intuicyą przenika ich naturę, instynkta, chęci, powody i sposoby ich zachowania się w każdym razie. Jako filozof praktyczny przenosi się ciągle ze świata zwierzęcego w ludzki i z okazji pierwszego robi spostrzeżenia nad drugim i daje mu nauki. Jako Polak i obywatel wreszcie znajduje często przy swoich badaniach ornitologicznych sposobność do ekskursów, niekoniecznie może z przedmiotem związanych, ale nasuwających się naturalnie, a pełnych zawsze bystrego przystosowania, zdrowej rady, znajomości naszego narodowego charakteru i szlachetnej miłości społeczeństwa i jego sprawy. Do tego wszystkiego jeszcze jest on w tych swoich pismach poetą rozmiłowanym w naturze, doskonale rozumiejącym jej rozliczne uroki i umiejącym dać je odczuć«.

JASKÓŁKA.



Czyż mógłbym pisząc o naszych ptakach zapomnieć o jaskółce, tej zwiastunce wiosny, lubej, miłej, a tak nas kochającej ptaszynie, która bez człowieka żyć nie może i ustawicznie go odwiedza, mimo doznanych dowodów okrucieństwa pod pozorem żartów, wprawy w zręcznem strzelaniu? Tłumu unika, bo tłum nie towarzystwo; zgiełku unika, a garnie się do mieszkania spokojnych, pracowitych rodzin. Gdzie tylko człowiek osiadł, czy na umiarkowanej północy lub na południu, czy na wschodzie i zachodzie, wszędzie mu śpiewa latem jaskółka, wszędzie go bawi swą powietrzną gimnastyką; a gdy w jesieni zacznie się w stada gromadzić, każdemu zimno, a w duszy smutno, bo świat bez igrających jaskółek, zaiste, martwy obraz przedstawia.

Jaskółka, to nasza lokatorka, pod strzechą jak pod gontem, w kominie i przysionku, w stajni, w owczarni — wszędzie jej pełno. Wdzięczni jej być powinniśmy, bo bez tej dobroczynnej ptaszyny niktby przed miryadami owadów nie wytrzymał; wypłaca ona sowicie czynsz za mieszkanie. Ściele gniazdo, że je ręką dostać można, powierza nam pisklęta, do nas się garnie, nuci nam rozkoszne śpiewki, bawi nas swym lotem, a nikomu się

nie naprzykrzy; dlatego wszyscy ludzie z czuciem pokochali ją serdecznie i na zawsze. Ona zdobyła nasze serca i wszystkich wieszczów, od Wergiliusza do najnowszych poetów; każdy ją zauważał, każdy ją śpiewał, każdy jej miał słów kilka życzliwych powiedzieć. Jaskółka z całej przyrody jedna nie zna nieprzyjaciół; uciekwszy pod skrzydła króla przyrody — człowieka, ufa jemu i nie przypuszcza, żeby mógł posunąć niewdzięczność do płacenia okrucieństwem za dobrodziejstwa. Zostawmy jej to przekonanie, może się człowiek poprawi, a my kochajmy ten typ lotnego żyjątko, bo ona nas kocha, bo ona nas broni od nieznośnych komarów, niecierpliwiających much i innych szkodliwych owadów, bo nareszcie my naród, słynący z gościnności, a ona bezbronna nam się oddała.

Gdy św. Franciszek Salezjusz kazał przed kościołem, tak głośno szczebiotały na gzemisie siedzące jaskółki, że słowa mowcy zagłuszały; odezwał się kapłan: *Ciszej, siostry jaskółki; pozwólcie, aby mnie słyszano*. Gdy to przeczytałem, ucieszyło mnie to słowo słodczy, bo istotnie one niemal do naszych rodzin należą; poeci zowią je przyjaciółkami lub towarzyszkami — wszystkim zatem miłe te ptaszyny. Więc się nie dziwcie, że ja ich życie wam opiszę, opiszę dobrodziejstwa, jakie nam świadczą, ich czułość i towarzyskość, która przykładem być może dla ludzkości, gdyż zgoda i wzajemna pomoc w tem licznym towarzystwie zawsze panuje, rodziny razem się trzymają, starsi bracia i siostry młodszemi się opiekują, władze i starszeństwo szanowane, posłuszeństwo zapewnione w ważnych wypadkach: dlatego im też Bóg błogosławi, rozmnażają się i *posiadają nieograniczoną wolność*.

Jaskółki od najdawniejszych czasów były szanowane, u niektórych narodów aż do zabobonu. U ludu wiejskiego w całej Słowiańszczyźnie otaczane są opieką, bo rozpowszechnione jest przekonanie, że szczęście chacie przynoszą i od ognia bronią; u Rzymian były pod opieką bogów domowych (Penatów) i wierzono, że gdzie w domu prześladowano jaskółki, tam one przez zemstę leciały do stajen i dziobały wymiona krów, które mleko traciły. Jest to zabawny zabobon, lecz pożyteczny. Jaskółka mściwą być nie może, bo tam, gdzie napotykamy czułość i poświęcenie, tam ohydna zemsta zajrzeć nie potrafi! Człowiek więc przyjął jaskółki za swe towarzyski, raduje się, gdy nadlatując, wiosnę nam zwiastują; patrzy na nie z wdzięcznością, gdy krocie owadów dokuczliwych same pożerają lub piskłębem donoszą.

Są przecież smutne wyjątki, pochodzące z lekko-myślności, pustoty i swawoli! Są ludzie, a szczególnie jest dużo młodzieży, co dla wprawy w strzelaniu obierają sobie za cel ruchliwe jaskółki, a te biedne niewinności, ufne w swe pożyteczne życie, pomne na pożytek, jaki człowiekowi przynoszą, zamiast z popłochem uciekać, jedne drugich wołają na tę im nieznaną burzę z grzmiotem i piorunami; z żalosnem zadziwieniem patrzą na krwawiące ofiary, a wołają ustawicznie: *divit! civit!* (co to znaczy!): i coraz ich więcej się gromadzi, a lekko-myślny człowiek, niepomny na szkody, jakie sobie sam sprowadza pomnażaniem miliardów nieznośnych owadów, śmieszny w swej zřęczności, okrutny w swej zabawie, strzela dalej, ciesząc się, że mu coraz więcej jaskółek nadlatuje! W południowej Francyi, w Neapolitańskim, pod Hallą i Magdeburgiem na wędki i w sieci łapią biedne jaskółczęta, które służyć mają za ortolany lub



skowronki; śmieszna to chciwość ludzi, gdyż jaskółka bez pierza, skrzydeł i ogona ma ledwie wielkość orzecha włoskiego.

W przyrodzie mają jednego srogiego nieprzyjaciela w sokole kobuzie, który mimo ich zręczności w locie często je łapie. Dopóki ma skowronki, na jaskółki się nie kwapi; lecz jak nasze polne śpiewaki w podrastającym zbożu znajdują bezpieczne schronienie, a młode sokołatka w gnieździe o żer się upominają, wtedy kobuz prześladowuje jaskółki. Jeżeli się nieprzyjaciel nie spodzianie zbliżyć potrafi, wtedy za pierwszym lub drugim uderzeniem porwie ją; gdy mu się to nie uda, wtedy jaskółka szyje powietrze lotem strzały i manewruje między drzewami, gałęziami i budynkami, męcząc napaśtnika, a ustawicznie woła: *cier! cier!* Niebawem na to wezwanie zlatują się wszystkie towarzyszki z jaskółczego osiedla i wszystkie, krzycząc: *cier! cier!* głośną kobuzą, a ten widząc, że to już poniżająca walka, jak niepyszny odlatuje. Wtedy jaskółki głośno zawabiają: *weide wod, weide wod!* świergocącym tonem, co jest u nich zawsze znakiem wielkiego zadowolenia i tryumfu.

Gdy zaś zgłodniała parka kobuzów uweźmie się w czystym polu na jaskółkę, prawie zawsze biedaczka zginie; lecz ta walka dla widza jest tak zajmująca, że oka oderwać nie można. Najzręczniejsi latawce ze wszystkich lotnych żyjatek natężają siły, aby tu złowić, a tam uciec: szybkość ruchów nie do obliczenia, gracia lotu nie do opisania. Patrząc długo na podobną walkę, można dostać zawrotu głowy, a gdy nareszcie drapieżny ptak porwie niewinną ofiarę, tak w duszy smutno, jak po utracie sympatycznego stworzenia.

Gdybym miał tworzyć nowy systemat podziału ptaków, na czele całej gromady postawiłbym jaskółkę. Bo cóż charakteryzuje ptaka? śpiew, lot i pierze. Jaskółki śpiew, to wprawdzie tylko miłe, harmonijne szczebiotanie, lecz pełne wyrazu i uczucia. Słowiki, drozdy i pokrzywki, to śpiewaki z rzemiosła: jaskółka, to śpiewaczka bawiąca kółka rodzinne i przyjaciół; zawsze wesoło zanuci, rano nas do wstawania śpiewem budzi (bo ona pierwsza z ptaków Bogu hymn wdzięczności śpiewa), nigdy smętnym i melancholicznym akordem nie zachmurzy naszej duszy, nigdy hałaśliwymi nutami ucha nie zniescierpliwi — zawsze miła, swobodna, czysta i kochająca.

Weźmy ją do ręki. Całe swe jestestwo zjednoczyła w skrzydłach długich i wyciętych w kształcie kosi i w długim wyciętym ogonie, służącym za ster na oceanie powietrza, po którym pływa; szyi prawie nie ma, nogi dodane jak dla uzupełnienia jej kształtu, lecz nie dla pożytku; bo ona prawie nie siada, żywi się w powietrzu, kąpie się latając, w locie żywi pisklęta, skrzydłami odbywa podróże niepojętej odległości w głąb Afryki: powietrze jest jej żywiołem, jak woda żywiołem ryb. Patrzmy na nią, jak koło toczy w powietrzu, a przypomni nam zręcznie łyżwującego młodzieńca. Który ptak może toczyć takie koła, zmniejszać je i powiększać do woli, w największym impecie stanąć w powietrzu i trzepotać na miejscu jakby dla wypoczynku lub huśtać się nad wodą chwile długie, to maczając brzuszek, to ogon i skrzydełka, to znowu rzucić się za komarem kapryśnego lotu lub za muchą brzęczącą, co jej w locie oko nie doścignie? Powiedźcież sami, pełni pobłażania czytelnicy, czy nie myślicie, że to jaskółka, co każdy owad w powietrzu uchwycić zdoła, która wśród burzy i wi-

chrów kołysze się pod chmurami, jak okręt na kotwicy, a przytem pięć miesięcy nuci nam swe śpiewki, uwalnia nas od dokuczliwych owadów, przestrzega od słoty i zimna, zwiastuje tyle zawsze oczekiwaną wiosnę? Cóż dopiero sądzić, zważając na jej cnoty społeczne i rodzinne, na jej organizację ciekawą, na jej rozum, czułość i pieśzczośliwe usposobienie? Powiedźcież sami, czy nie ona ma przedwodzić gromadzie ptaków? Kto pozna jaskółkę, zgłębiwszy jej życie, zbadawszy skryte zwyczaje, i przekona się o tej wesołości bez swawoli, o czułości bez nerwowej excytacji, o poświęceniu się dla drugich i dla dzieci, o tem uregulowanem życiu; kto na nią patrzy przy gnieździe i pisklętach, w niebezpieczeństwie lub przed podróżą — ten powie: to przeistoczenie miłej, słodkiej, czulej a rozumnej dziewczycy! Jeżeli Bóg po śmierci karze dusze pokutujące wędrówką i przeistoczeniem, to w jaskółkach same dusze niewinnych dziewcząt pokutują.

Gdy w dniu mglistym przy zachmurzonym niebie, ku zachodowi słońca, badacz w smętnem usposobieniu stanie nad jeziorem i дума: co za dziwne wrażenie robią te czarne ptaszęta, kręcące się nad zwierciadłem wody, wołające jak o pomoc, szybkie i zwinne jak motylki. Czasem jedna popędzi daleko, zawoła towarzyszkę i znowu wraca, kręcąc się i kołując, to znowu przeleci tak blisko twarzy, że niemal skrzydłem ruszy i wiatr pochodzący z szybkości lotu podniesie włosy człowieka; znowu i znowu latają i kołyszają się piszcząc. Już nietoperze nadlatują, słońko za pagórkami się skryło, a one jak gdyby dziennej pokuty dokończyć musiały, latają ustawicznie, aż nareszcie starsze zawołają: *już na dziś dosyć!* i wszystkie te duszyczki rozlatują się,

cicho pozdrowiwszy się wzajemnie dwiema tylko nutami, bo każdy dzień ma swoje biedy i zakończyć się musi!

Nim wam życie jaskółek opiszę, muszę was obeznać z gatunkami, bo posądzam was, że ich nie znacie. Jeżeli się mylę, to wybaczcie. Ja treściwie je odrysuję; bo broń mnie Boże, abym Wam zadawał naukę łyżeczką, jak lekarstwo; ja Was chcę rozerwać, a spamiętacie co, pokochacie ptaszęta me lube — o! to ja będę so-wicie wynagrodzonym. Nie myślcie, że te długoskrzydłne czarne ptaki, co ustawicznie okrążają kościoły i wieże, że to jaskółki. O nie, to żałobne jerzyki (*Cypsellus*), smutne, ciemne i żałobne ptaki; to towarzysze śmierci i pogrzebów, ustawicznie piszczące przeraźliwie, niezgodne, w ciągłym ruchu, mieszkające w ruderach, basztach, więzieniach i klasztorach. To też pokutujące ptaki, lecz za cięższe grzechy, bo ich pokuta sroższa; o! to nie jaskółki! Tych niegodnych, hałaśliwych jerzyków ja wcale nie pragnę abyście kochali, opis ich życia czytali i pod waszą opiekę wzięli; oni na to nie zasługują.

Jaskółek mamy w Polsce całej trzy gatunki *):

1. **Jaskółka dymówka** (Kluk). [*Hirundo rustica* (Linn.) *Łastówka* (gm.) *Hirondelle de cheminée* (Buff.)]. Płaszcz czarny z połyskiem granatowym, czoło i gardziel rdzawy, otoczone przepaską koloru płaszcza, czoło

*) Nie mam dotąd żadnych dowodów, żeby jaskółka skalna *Hir. rupestris vel montana* Lath. w naszym kraju się znajdowała; w tym celu w Tatrzańskich skałach i Karpatach kamienistych stanisławowskiego i kołomyjskiego cyrkulu badałem ściśle okolice i tego gatunku nigdy nie odkryłem; wątpię zatem bardzo, żeby się gdzieindziej gnieździła, kiedy w tych dogodnych miejscowościach jej nie było, a zatem tylko przypadkowo, wiatrem zapędzona może się czasem u nas zjawić.

równie rdzawe, brzuch i podogonie białe, ogon czarny, na każdej sterówce biała plamka, skrajne przedłużone o trzy cale i szpiczaste (wielka długość ogona dowodzi doskonałości ptaka) stanowią mocno widłowaty ogon, długości 6" do 7". U starych ptaków na bieli pierza spodniego jest cień rdzawy z bliska tylko widziany, a prześlicznego koloru, u doskonałych samców znaczniejszy. Samiec od samicy nie wiele się różni, i to w pewnych tylko drobnych odcieniach. Mieszka w całej Europie, posuwa się pojedynczo do Islandyi, w północnej Szwecyi i Norwegii pospolita. Ku końcowi sierpnia gromadzą się rodzeństwa, łączą się rodziny, nareszcie zbierają się w hurmy wszystkie jaskółki jednego osiedla; lecą na zbiorowe miejsca, tam się ilość ich powiększa do niezliczonych liczb i w połowie miesiąca września opuszczają nasz kraj, aby lecieć w głąb Afryki, a w połowie lub ku końcowi kwietnia wracają do nas, zwiastując wiosnę.

2. **Jaskółka oknówka** (Jundz.). [*Hirundo urtica* (Linn.). *Hirondelle de fenêtre* (Buff.)]. Płaszcz jak u poprzedzającej, spód cały i nadogonie śnieżnej białości; mniejsza od Dymówki, nogi skąpo białym mchem pierzastym okryte; później do nas przybywa, a razem odlatuje; między samcem a samicą niema prawie różnicy. Nazwana oknówką, bo najczęściej lepi gniazdo pod oknami, kiedy poprzedniczka w chatach dymnych i po kominach swoje kleci. Ogon mniej widłowaty, końcówki lotek go nakrywają.

3. **Jaskółka brzegówka** (Kluk). [*Hirundo riparia* (Linn.). *Grzebiółka* (gm.). *Hir. de rivage* (Buff.)]. Płaszcz szaro-brunatny, tego koloru przepaska na piersiach, gardziel i brzuch biały, jeszcze mniejsza od poprzedzających i widłowatość ogona mniej znaczna; przy-

latuje w tej porze, co Oknówka, i jest równie szeroko rozpowszechnioną; gnieździ się w norach spadzistych brzegów gliniastych; samiec ma to samo ubarwienie, co samica.

Wszystkie te trzy gatunki noszą te same cechy: nogi krótkie, oczy duże wypukłe, skrzydła długie i wycięte, dziób krótki, otwór paszczy wielki, a paszcza zawsze zwilżona klejowatą śliną, na której przyklepiają się złowione owady i która służy do lepienia gniazd; nazywają się paszczaste lub beznożne.

Jaskółka dymówka.

To wieśniaczka, rzadko do miasta zaziera, zaraz przed hałaśnym zgiełkiem ulatuje, bo miłuje strzechę i zacisza wiejskie; tuli się po wsiach do człowieka, jak gdyby myślała, że na wsi człowiek mniej zepsuty i czulszy, niżli w mieście; terminów przylotu i odlotu wiernie dochowywa, śpieszy się z podwójnym gniazdem w jednym lecie; pochłania corocznie miliardy much i komarów, zbiera pod dachami larwy, poczwarki i pająki, rozwesela wieś i oddaje niepospolite usługi. Dymówki dzielą nam rok przylotem i odlotem na dwie połowy. Koło Wielkiej Nocy przednie straże armii jaskółek przybywają do połowy kwietnia, dalej zjawiają się korpusy liczne, a w końcu tego miesiąca tylna straż i marodery zmęczone. Rzecz szczególna, na wiosnę ciągną do dnia i przez dzień cały, zostawiając po drodze kontyngensa, jakie gdzie latować mają, a armia dalej leci ku północy i na zachód w wielkiej wysokości; w jesieni przeciwnie, jak gdyby im na tej wysokości niemiłe było powietrze, ciągną niżej i do ciemna w noc. Stosownie przysłowie: Jedna jaskółka nie stanowi lata! W początkach kwietnia zjawia się jedna, dwie, to rekonesansy — i znowu znikają; później czasem awangarda z czterech do pięciu — i znowu pauza; a mimo tych ostrożności narażają

się na wielkie niebezpieczeństwa, bo na głodową śmierć i zmarznięcie. Ale też powiedzcie, komu ta polska, biała wiosna się już nie naraziła, komu się nie dała we znaki? Słońce zaświeci, ptaszki zanucą, kwiatki, krzewy i drzewa zakwitną; cała przyroda ze snu zimowego się budzi, wszystko ku niebu zwraca radosne oczy, bydlę i owce śpieszą w pole, gospodarz się raduje, że już koniec tej długiej zimy: a tu znowu śnieg, deszcz lodowaty, a czasem i przymrozek! Jaskółki rozumne, u których doświadczenie nie idzie w las, wysyłają czaty, dowiadują się dokładnie, jak tam w tej zimnej i biednej Polsce. Lecz jak forpocztę powrócą i ogłoszą, że tam już muszki latają, słońko przygrzewa i trawka się zieleni: jakże tu nie lecieć, kiedy na dotrzymaniu sumiennem reputacya rodu jaskółczego zależy! Przylatują więc — i często z zimna i głodu giną. Gdy taka bieda niespodziana je nawiedzi, lecą nad jeziora i stawy, chronią się po łożach i trzcinach, radzą, szczebiocą, jak tu uratować życie, i często, gdy siły się znajdują, a na energiczną determinacyę jeszcze zdobyć się potrafią, wtedy porwą się wszystkie, wybiją pod obłoki i znikną na dni kilka; myślę, że lecą za żerem i chronią się w cieplejszych zaciszach.

I ja byłem młody, nie wierzyłem w dokuczliwość reumatyzmów, chodziłem więc po bagnach na wiosnę za ptakami, powracałem skostniały z zimna; dziś nie żałuję tych niebezpiecznych wycieczek, lecz jako higienicznego środka nikomu ich zalecać nie mogę; uzbierałem wiele bardzo spostrzeżeń ciekawych i poczyniłem odkrycia, nieprzystępne dla nas w innych porach roku. Często lodowaty deszcz twarz kaleczył, śnieg syjący ubranie przyproszył, wiatr północny krew w żyłach mroził, a ja

często widywałem pojedynczą w tym czasie jaskółkę szyjącą powietrze, czasem dwie, cztery, rzadko kiedy więcej. Niepokój i pośpiech tych ptaków zawsze mnie zadziwiał i do tej chwili pojąć nie mogę, skąd się tam wzięły i gdzie pędziły. Przypuścić nie można, że przy kilkudniowej, lodowatej słońce, jaskółki podróż odbywały, ani też, że z pośpiechem ku stadom dążyły, gdyż kierunek zawsze był ku północy i zachodowi, a zatem przeciwny. Ile razy spostrzegałem te ptaki w popłochu i w ucieczce, zawsze mi na myśli stawała gadka chłopiska, że część jaskółek w wodzie i w norach brzegów zimę przepędza. Te ptaki, istne kurjery, leciały zawsze, nie szukając pożywienia i wiatr mając przeciwny; nie były to znane mi rekonesanse i awangardy, złożone z 7 do 10 sztuk — i pozostały dotąd zagadkowemi dla mnie istotami.

Przeżyłem z jaskółkami dwie klęski, myślą nie objęte, mianowicie w kwietniu roku 1851. Była to zwo-dnicza nasza wiosna, ciepła i zielonawa. W połowie marca zaczęliśmy siewy, ukończyli je w końcu tego miesiąca. Koło siódmego kwietnia począł padać mokrymi płatkami śnieg, sypał przez dni cztery i warstwa śniegu leżała na grubość pół metra. Krocie jaskółek z głodu ginęły; rozumniejsze, przebieglejsze i doświadczeńsze schroniły się do mieszkań ludzkich, do stajen i owczarni, tuliły się pod strzechę dymnych chałup i do kominów wlatywały. Nie przesadzam, gdy liczbę schronionych do mojej owczarni jaskółek podaję na 300. Było tam na ścianach i powale niemało jaj owadów, poczwerek i pajaków, lecz to armii jaskółek na pożywienie nie wystarczyło i piątego dnia, już z głodu konające na gnoju podnosiliśmy, ratowali, nosili do mieszkań; i pamiętam,

że kilka w oranżeryi wyratowałem od głodowej śmierci. Chcąc, aby część uratować, otwierałem wrota od owczarni i kazałem je gonić; lecz rozumne ptaszyny wiedziały dobrze, że na powietrzu śmierć je czeka; tłukły się i rozbijały o ściany, wszakże żadna wylecieć nie chciała. Co to była za rozkosz, co śpiewu i świergotania, jakie radosne zwoływanie, gdy znowu dobroczynne ciepło przyrodę ogrzało i poczęło topić całun zimowy! Bo to te miłe ptaszyny sobkowstwa nie znają i same nie umieją nawet z przysmaczków korzystać i przyjemności używać, więc przy jakimś odkryciu korzystnym wołają towarzyszki, wabią świergotając, a nawet powracają po nie i zabierają ze sobą.

W końcu kwietnia roku 1865. tysiące jaskółek zginęło z zimna i z głodu — i wtedy dopiero zdefiniowałem sobie te lotne istoty. Zdawałoby się, że ptaki, wytrzymujące męczący lot przez 12 do 14 godzin, muszą być wytrwałe i silnego organizmu; tymczasem widziałem na oczy jaskółki latające dosyć szybko, po chwili siadające na belkach z napuszczonem pierzem i po kilku minutach spadające nieżywe na ziemię. Widocznie ruch ich gwałtowny przyspiesza trawienie — i głód a nie zimno dziełsiatkował schronione pod strzechami ptaki.

Żywią się jaskółki w powietrzu, uganiając się za latającymi owadami, które dzióbem chwytają, często tak mocno, że kłapięcie szczęk słyszeć się daje; nad wodą bez przestanku łowią owady, a gdy gdzie natrafią na chmurę krążących muszek lub komarów, wtedy pędem błyskawicy, z otwartą paszczą, uderzają w środek, nawracają drugi i trzeci raz, a muszki i komary przylepiają się w paszczy na klejowatej ślinie; i dopiero nasyciwszy się, odlatują. W ustawicznym locie za żerem

chwytają drobne latające żuki, lecz twardych skrzydełek strawić nie mogą i jak drapieżne ptaki pierze i kości, tak one łuski wyrzucają dzióbem. Zręcznie chwytają małe ćmy i motyle, na listkach i trawkach robaczki i gąsienice; oka badacz od tej pośpiesznej a cały dzień trwającej pracy oderwać nie może: taka szybkość, taka zręczność, a każdy najtrudniejszy ruch pełen gracy! Wszystkie te niepojęte ewolucye w powietrzu robi bez natężenia. U jaskółek zaiste nigdy spostrzec nie można najmniejszego zmęczenia lub chęci odpoczynku; lata od wschodu do zachodu, a jak siedzie, to na chwilkę, jak gdyby tylko pokazać światu chciała, że i ona siedzieć umie. Zabawny to widok, gdy przy zachodzie słońca zjawia się podobna chmurka krążących owadów i jaskółka ją spostrzeże. Radośnie zawoła: *wit witurit!* leci po towarzyski i szarżują w tę kupę, dopóki muszek masy nie nałapią lub apetytu nie zaspokoją. Dla owadów towarzyszą stadom bydła i owiec, dla owadów okrążają stajnie i gnieźdzą się w tychże, dla braku owadów opuszczają nas w jesieni. Nic pociesniejszego, jak widok jaskółek, polujących w dni słotne na owady nad dachami: zręczność nie do pojęcia! W locie potrafi uchwycić na ścianie siedzące muszki, lub też skrzydełkami je płoszy i łowi w powietrzu; w głodzie porywa suche muszki, wiszące na pajęczynach, a czasem i pajęczek padnie ofiarą. Za każdym uchwyceniem owada, słyszeć można kłapnięcie dzioba; w kilku minutach kilkaset tych nam nieznanych tonów do uszów dochodzi.

Nie buduje tak silnego gniazda, jak jaskółka oknówka; instynkt jej wskazuje schować je pod dach, albowiem nie wytrzymałoby naszych deszczów, zacinających jak batogami, gdzie wiatr wieje. Pierwsza jej czynność

po przylocie wiosennym, odżywiwszy się nieco, jest wy-
czyszczenie gniazda, jeżeli je zastała parka jeszcze w do-
brym stanie, lub budowanie nowego. Gniazdo nie tak
doskonałe, jak oknówki, przecie należy już do dzieł ar-
chitektury ptaków: przylepia ścianę tylną gniazda do be-
lek, łąt i innego materiału naszych dachów, starając
się, aby dolna część opartą była o sęk wystający lub
gwóźdź; kształtu gniazda wystawić inaczej nie mogą, jak
w $\frac{1}{4}$ próżnej kuli, ściany $1\frac{1}{2}$ " grube, wysokość $4\frac{1}{2}$ "
do 5", a głębokość gniazda 4". Materiały zbierają po
mokrych miejscach z lekkiej ziemi, na których w czasie
budowy gniazda wielka ich liczba siada; ile może dziób-
kiem tego błota zabrać, tyle bierze, zwilży śliną i mocno
przygniecie do miejsca, gdzie ma być gniazdo. Zaczy-
nając budowę od tyłu gniazda czyli punktu oparcia, le-
pią dalej od dołu, a gdy połowa tego gmachu już ster-
czy, siadają oboje na krawędzi i szczebiocą rozkosznie
codzień w południe na wypoczynek. Lepianka postępuje
widocznie przy tak pilnych robotnikach; dopiero u góry
zostawiony otwór do wlatywania. Ta budowa trwa od
sześciu do ośmiu dni i w locie jest wykonywaną; gdyż
jaskółka, która jest *uosobieniem pośpiechu*, nie siada,
tylko trzepocąc się przy gnieździe jak wieczorna ćma
nad kwiatkiem, w trzepotaniu potrafi swą bryłkę błota
doskonale wlepić. Te bryłki niemal wszystkie porachować
można, bo sterczą; każdy się wtedy zadziwić musi, ile
to razy mąż i żona nosić musieli!

Gdy budowa w połowie skończona, siada pani
domu do środka i skrzydełkami, brzuszkiem i dzióbkiem
wygładza wewnętrzne ściany, które później jak politu-
rowane wyglądają. Po wybudowaniu lepianki, pilno jej
bardzo znosić jaja i częstokroć dach nieskończony, a już

jajko zniesione i drugie i trzecie, a gdy cztery do pięciu jaj leży w gniazdeczku, mąż musi gniazdka dokończyć, a ona już pilnie wysiaduje. Nadzwyczaj pilna w wysiadaniu, mając ogrom ciepłika w sobie, a mnożąc go ustawicznym ruchem, może kilka razy na dzień opuścić gniazdo bez narażenia jaj na zaziębienie; mąż jej donosi czasem muszki, szczególnie ku końcowi siedzenia, gdzie najpilniejszą być musi: przynosząc zaszczebioce miłośnie przed lepianką, trzepoce w locie, jak gdyby stał w powietrzu, ona główkę wychyli, odpowie mu kilku nutami i weźmie dzióbkiem z dzióbka muszkę, a zadowolony ulubieniec, wesoło świergotając, leci dalej, głosząc swe szczęście bez chmurki.

Samiec śpiewa szczebiotliwie, lecz pełne melodyj pieśni, ona ciszej i przerywanie. On wdzięczny i pełen pamięci, równie jak czułości, ile razy blisko gniazda przesyje powietrze, zawsze zawabi partykularnym głosem, aby ona wiedziała, że o niej myśli i że przeleciał. Rzecz szczególna, u żadnego ptaka nie spostrzegłem tak częstych rozmów, czy to między małżeństwem czy z dziećmi czy też w towarzystwie; istne to dyalogi! I tak przylatuje samiec, trzepoce przy gnieździe, świergoce chwilkę: ona mu odpowie, on znowu przemówi i znowu bujać leci w powietrzu; — lub też siedzi na dachu stara parka, przy nich rżędem dziatwa: starzy coś mówią, młodzież słucha, tu i ówdzie się odezwie, aż nareszcie wszystkie krótko zaświergocą, często starzy przemówią, a dzieci się zrywają i lecą przed rodzicami toczyć koła, wycinać esy i floresy w powietrzu, a ci na dachu radośnie nuca, dumni ze zręczności swych jaskółcząt.

Kiedy dzieci wychowali, oboje już myślą o drugim znoszeniu jaj, a tu czas krótki w tej zimnej, biednej Polsce

i jeszcze przed sierpniem rodzinę jaskółek świata wychować trzeba, bo tak instykt surowo nakazuje. Ten śpieszny proceder lęgu przypomina w świecie roślinnym tę karpacką vegetację, która nakryta śniegiem do połowy czerwca i znowu w połowie sierpnia dostaje swą zimną koszulkę białą, a mimo to rośnie, zakwita i nasienie daje w tym krótkim czasie. Bóg tak zrządził, nasz rozum tego pojąć nie może, lecz corocznie widzimy te odnawiane cuda.

W tym rodzaju napotykamy jak gdyby mowę w jednym języku, od wszystkich zrozumianym. I tak mają głos na oznaczenie strachu lub popłochu, wabienie zwołujące lub ostrzegające, szczebiotanie zadowolenia i rozkoszy; innym głosem towarzysze do siebie mówią, innym przemawia matka do dzieci, inny znowu dźwięk w pieśniami wyrazach małżonków. Napomnienia starszych, zwoływania przed podróżą i w podróży, dawane dziecku leki do lotu i pożywienia, przy zbliżającym się niebezpieczeństwie, wszystko to przez jaskółki bez alfabetu i gramatyki oznaczone, lecz dla wszystkich zrozumiałe i powtarzane od początku rodu jaskółczego. Niema wątpliwości, czy wyrazy wymawiać trzeba przez *o* kreskowane lub niekreskowane, czy *ch* czyli *h*, wszystkie czysto mówią, czystą mową wszystkie w zgodzie Boga chwala!

Pierwsze zniesienie jaj składa się z pięciu do sześciu, drugie z trzech. Jajka bywają z tłem białym, nakrapiane rdzawo; rzadsze lub gęstsze, bledsze lub ciemniejsze miewają plamki; często zupełnie są białe lub też przy grubym końcu tak upstrzone punkcikami, że tworzą rdzawą obwódkę! skorupa bez połysku, porowatość znaczna. Wysiaduje samiczka pisklęta przy ciepłym powietrzu w dwóch tygodniach, w zimnie potrzebuje do 20 dni, a to z powodu, że gdy dżdżysta pora nadeszła

i owady się pochowaly, ona dłużej latać musi, aby głód swój zaspokoić; żeby nie ciepik nadzwyczajny, jaki posiada jaskółka i zakryte pod dachem, niemal ogrzane miejsce, w którym gniazdo ulepione, nigdyby pisklęta dla zimna wykluc się nie mogły z jajek.

Gdy po dwóch dniach ogrzane dzieci już więcej pożywienia wymagają i ustawicznie piszczą, matka ich w gnieździe tak układa, że wszystkie główki, jak jaki żółty bukiet przy otworze gniazda sterczą; i ten porządek surowo rodzice utrzymują, aby nie być przypadkiem dla jednego lub drugiego parcyalnym, aby wszystkie jaskółczęta dostały regularną strawę. Bez tej rozumnej organizacyi, silniejsze wypchałyby młodsze do środka i niejedno zginąćby musiało; a że wszystkie te główki do siebie podobne jak krople wody i wszystkie za każdym przylotem ojca lub matki otwierają zawsze szeroko swe paszcze, piszcząc prośbę o żer; zważywszy też, że donoszenie pożywienia rodziców odbywa się w niepospolitym pośpiechu: zatem ta instynktowa organizacya (instynktowa, bo całemu rodzajowi właściwa) jest dla piskląt kwestyą życia.

Druga równie instynktowa, równie niezbędna potrzeba, jest uczenie piskląt czystości. Co chwila wlatuje jedno z rodziców do gniazda, podnosi pisklę tak, aby łajno wypadło za gniazdo, potem drugie, trzecie i t. d.; po kilku dniach surowo, a systematycznie trzymana dziatwa, tak się wyuczy, że gniazdo czyste, a co niemowlęta w pierwszych dniach nieczystości narobiły, rodzice starannie dzióbem wyrzucają z gniazda. Czystość posunięta do przesady niemal, bo gdy łajno pod dachem ku ziemi leci, jaskółka je dzióbem łapie, wylatuje otworem i upuszcza na wolności. Onato gospodynie czystości

i porządku uczyć może! Niedarmo Stwórca tak zrządził, i w tej drobnej na pozór organizacyi jest ogrom mądrości! Gniazdo jest do góry zalepione, z małym tylko otworem, w środku wysłane pierzem: gdyby żarłoczne pisklęta tej czystości nie utrzymywały, albowy w fetorze zaduszone były albo też w gnieździe nie znalazłyby pomieszczenia, w każdym zaś razie pierzem świeżem okryćby się nie mogły w tym wilgotnym gnoju.

Jaskółczątka rosną, jak baby na drożdżach, i po czterestu dniach już w lepiance pomieścić się nie mogą; pomału otwór rozprzestrzeniają i siedzą sobie dzień cały na krawędzi gniazda jak panny w oknie, przyglądają się wszystkiemu z ciekawością, a bez trwogi; słuchają uważnie świergotania starych, które zawsze po kilka lub kilkanaście par pod jednym dachem mieszkają, i pomału zaczynają nucić cicho, często chrapliwie. Zdarza się niejeden fałszywy akord; lecz w tej kupce rodzinnej trafia się prawie zawsze jeden braciszek z uchem muzykalnem, więc ten głośniej śpiewa, a tamte się uczą — i tak pomału lekeye muzyki przy pomocy rodziców wykształcają nam miłych, harmonijnych śpiewaków. Siedzą więc, już zupełnie pierzem okryte jaskółczęta, z bledszemi wprawdzie kolorami i krótkim widłowatym ogonkiem, zresztą podobne do starych, lecz lepianki opuścić nie chcą; bo to nie wiecie, jak ona wygodną jest. W środku dosyć obszernie, miękko siedzieć, a tak ciepło jak w pie-rzynie. Jakże tu opuścić tę sypialnię, kiedy na świecie, gdy zajęczy głóg kwitnie w pierwszej połowie czerwca, tak nieprzyjemne powietrze i wiatr mroźny, deszcz — a tam ciepło i spokojnie. One siedzą wtedy w gniazdeczku, kiedy my kominka z trzaskającym, wesołym

plómiem opuścić nie chcemy, a zatem pojąć i podzielać musimy ich do komfortu przywiązanie. Rodzice zmęczeni ustawicznym łowieniem owadów, wycieńczeni tem polowaniem — bo to zimno, muszki się pochowały, a dziatwa ustawicznie jeść woła — lecą za muchami do stajen i owczarni, lecz nastarczyć nie można pożywienia; więc głodem upór malców przełamują.

Stary uchwyciwszy muchę, leci przed gniazdo, lecz trzepocąc staje w powietrzu w pewnej odległości i woła dzieci: te, zawsze zgłodniałe, dostać nie mogą pokazywanego owadu, nachylają się, próbują skrzydeł, a nareszcie któreś spadnie z wytężenia. Przestraszone leci do ojca, dostaje muszkę, powraca na gniazdo i wesoło szczebioćcąc, do drugich mówi: *wierzajcie, my możemy tak latać, jak rodzice*. Młodszy nie wierzą, lecz że potrzeba jest matką rodzicielką wszystkich wynalazków, więc pomatu całe rodzeństwo nabiera odwagi i uczy się latać. Zostaje jeden Benjaminek, który rzeczywiście dorósł nie mógł i siedzi opuszczony dzień cały, piszcząc żałośnie za rodzeństwem, które czule kochał; osierocone biedactwo, mimo troskliwości poczciwych rodziców, którzy przy pomnażających się coraz rozlicniejszych czynnościach istotnie cuda pilności robią i o nim nie zapominają, nareszcie w desperacyi rzuca się z gniazda i niepewnym lotem, jak ćma przy świecy, szuka otworu, którym bracia i siostry wyleciały — i jak pijany, potrafiwszy się o ściany kilka razy, na świat się wydobywa. Radosna to chwila! Rodzice go otaczają; jedno pod nim przelatuje, aby go w powietrzu podnieść, drugie ostrożnie prowadzi na miejsce dachu, na którym się dziatwa umieszcila; ta rozkosznie trzepoce skrzydełkami i woła Benjaminek. Wszystko razem siedzi, młodzież rzędem, starzy opodal

śpiewają, odlatują chwilkę i znowu wracają, zachęcając
działwę do lotu. Ta się zaś wcale ruszyć nie myśli, jak
siedziała, tak siedzi; mimo pokus, pokazywanych przy-
smaczków, ruszyć się nie chce. Nowa bieda dla rodziców.
Lecz tu trzeba dać dowód charakteru i nakazać milecze-
nie sercu, a zatem głodzić próżniaków, a donosić tylko
malutkiem. Żle się dzieje działwie, żołądek próżny, za-
zdrosem okiem patrzą na żywionego Benjaminka, szepcą
między sobą, radząc, co uczynić wypadnie, a rodzice
latają ustawicznie, pokazują owady to w dzióbce, to la-
tające, które przed młodem chwytają. Radzi nieradzi,
nareszcie się puszczają za rodzicami; a malec zostaje
na dachu, bo on rozkazu latania jeszcze nie dostał,
i już po kwadransie bujają jaskółczęta jak doskonałe
ptaki. Stare im w powietrzu tu i ówdzie dają pożywie-
nie, wskazują owady, prowadzą na miejsce, gdzie ich
jest obficie, a o Benjaminku nie zapominają. Po chwili
wraca do niego cała rodzina, a że na tę ważną wy-
prawę dzień pogodny wybrany, więc słońko przyświeca,
rodzice śpiewają, dzieci im wtórują, to znowu odlatują
i znowu powracają, aż się słońko ku zachodowi schyli:
wtedy rodzice dzieci wołają i wszystko wraz z Benja-
minkiem leci spać. Tu się rzeczy komplikują. Jest wy-
raźnie w rodzie jaskółczym nakaz, że pierwsze nocy po
wyleceniu dzieci z rodzicami, razem wszyscy w gnie-
ździe spać muszą; dzieci wołają, że to być nie może,
bo one same już tam miejsca nie miały, jakże się teraz
one wykształcone wraz z rodzicami w ciasnej lepiance
pomieszczą. Malkontenci nic nie mogą wskórać, sejmik
burzliwy trwa krótko, matka włazi do gniazda, za nią
działwa, którą rodzic nagania. Co tam pisku i narzeka-
nia, jak się to wszystko gniece, a potem skarży! Aż

nareszcie ulokowani cicho siedzą, a chociaż to w tej lepiance dyabelnie niewygodnie, wszystko zasypia, bo to niemalę było zmęczenie w tym dniu próby.

Ledwie na horyzoncie spostrzec się daje jasny pasek, a kogut zapiał, już wstaje jaskółka, siada sobie i Bogu nuci ranną modlitwę — ona pierwsza. Jeszcze we dworze wszystko uspięne, nawet wróbel głęboko w swej pierzynie spoczywa, a drób dworski ani myśli wstawać, jaskółki już nam wschodzące słońce zapowiadają i zachęcają do pracy i ruchu. Dopiero później ruszają się ptaszęta: wróbel wychyla głowę z gniazda, rudogon ogrodowy swoją pieśń odśpiewa, kosy i drozdy fletowym koncertem ucho zachwycają, słowik melancholicznie zanuci, to znowu jak fanfarę uderzy; zięba powtarza z wysileniem swych kilka głośnych nut, dudek smętnie mówi: *hup, hup, hup!* pliszka na dach wybiega, rusza swym długim ogonem, muska się i leci nad wodę przypatrywać się, czy jej do twarzy, a z daleka słyhać śpiew skowronka, który się pod obłoki wzbija, aby jak najbliżej niebios swe dziękczynne hymny odśpiewał Bogu; gołębie zagruchocą, gąski zagęgają — a tu już niecierpliwe jaskółki szyją powietrze, szukając owadów, które jak inne żyjątka czekają wschodu słońca, aby życie pracy na nowo rozpocząć.

Gdy się nareszcie młode jaskółczęta przyzwyczyły spać w lepiance z rodzicami w tej niewygodzie i już kilka dni bujały, nie zważając, że gniazdo wyporzadzone, aż tu jednego wieczora zastają ojca na warcie, a matkę na swem pierwszym jajku w gnieździe. Niepospolite zadziwienie i wielkie nieukontentowanie! Gdzież tu tak późno i po zmęczeniu szukać miejsca bezpiecznego na odpoczynek? Ojciec im tłumaczy, wszyscy razem świergocą

i nareszcie wraz ze starym przewodnikiem lecą na miejsce, już pewnie pierwszej przez tegoż obrane. Są to jakieś tyki na strychach lub odstające łaty pod dachami lub suche gałęzie rosnących drzew. W zaciszu spokojnem ulokowawszy butną młodzież, wraca do swej ulubionej lepianki. Działwa swawolna rano nadlatuje jak po radę, dyspozycyę i żeby rodzicom dzień dobry powiedzieć; wieczór nieraz próbują wracać do gniazdeczka, lecz to fałszywe zachcianki, rodzice już z kwitkiem odprowadzają dzieci.

W drugim zniesieniu najczęściej trzy jajka tylko znajdujemy i wychowanie tej drugiej familii niepospolite kłopoty dla rodziców sprowadza, gdyż wyklute później pisklęta często jeszcze w gnieździe siedzą, kiedy już w sierpniu jaskółki do podróży się gromadzą. To niepokoi starych, bo wiedzą, że te dzieciaki często w spóźnionej podróży głodem i zimnem nocnem lub deszczami srogo nawiedzane bywają i często giną.

Mylnie twierdzą autorowie, że co roku każda parka jaskółek nowe gniazdo lepi; przeciwnie, ile razy tylko może, wylepi, wyczyści, nową pościel przyniesie i jajka śpiesznie znosi w przeszłoroczne gniazdo; to są parki, które wcześniej wychowują silne dwie rodziny i do podróży się nie spóźniają. Te zaś, co nowe gniazda lepić muszą, później wychowują pierwsze dziatki, a z drugimi albo się spóźnią i na niebezpieczeństwo je wystawią, albo też mimo zniesienia jaj samiczka ich wysiedzieć nie może. Gdy mamy mokre i zimne lato, a jaskółkom o żer trudno, wtedy tak często są przymuszone odlatywać z jaj, że nareszcie te zaziębnieją i w zarodkach giną. Tu znowu łatwo spostrzec, że zawsze rodzina razem przylatuje i tam gdzie było jedno gniazdo,

są drugiego roku dwa, trzy i te się mnożą, dopóki doskonale ptaki, widząc za wielką liczbę lepianek, narreszcie niektóre pary wypędzają i zmuszają je szukać w innem miejscu schronienia. Jednoroczne ptaki, bardzo niezgrabne do architektury, próbują na wszystkie strony, lepią nieporządnie, a widząc, że z tego mieszkania przyzwoitego nie będzie, odstępują fundamenta, a często i zaczęte ściany, i na nowo budują; później nadlatujące jaskółki częstokroć z tych opuszczonych zaczętych gniazd w potrzebie korzystają i z dziwnym rozumem, z podziwienia godną zręcznością potrafią wygodne gniazdo wybudować z nieforemnie zaczętej lepianki. Młode parki zapatrują się na stare gniazda i one im za modele służą, dlatego starają się zawsze jak najbliżej tamtych budować; zupełnie to takie wrażenie robić musi badaczowi, jak kiedy syn gospodarza na bliskim folwarku pod jego okiem i opieką gospodarstwa się uczy. W opuszczonych lub szerokich z gzymsami kominach, budują gniazda w kątach, gdzie ich dym nie dochodzi, jedne na drugich tak, że często pięć do sześciu pięter gniazd widzieć można, zawsze przecie w tej odległości, że jedno drugiego nie dotyka (dlatego dymówkami nazwane). Widziałem strychy nieobszernych chałup z dziesięciu do piętnastu gniazdami, a w stajniach długich czterdzieści do sześćdziesiąt gnieźdzących się parok: tam dopiero świergotanie, tam sejmiki hałaśne, a co życia i ruchu, w oczach się mieni widzowi, istna rzeczpospolita; lecz to nie ludzka, *ale ptasia*, pełna zgody, bez ślepych ambicij, bez okrucieństwa i chciwości. Tam łączy wszystkich miłość, tam wszędzie poświęcenie, porządek i organizacya; nie potrzeba tam prezesa i policyi, ani też zbrojnej siły. Prawa, od Opatrzności nadane, są szanowane, zgoda

i pomoc wzajemna zawsze gotowe, bo wszyscy mieszkańcy tej hałaśliwej kolonii mają jedne zasady, tesame dążności i tensam cel; do nich zastosować możemy *viribus unitis*, słowo, które człowiek jak zepsute dziecko poszarpać się stara i nie dozwala, aby w rzeczywistość przeszło.

Równie fałszywe twierdzenie autorów, że jaskółki w pasiekach szkody zrządzają. Jest to czarna obmowa i muszę moje pożyteczne ptaki od tego niesprawiedliwego zarzutu obronić. Najpierwej jaskółka tylko drobne owady łapie z chciwością, te które bez poszarpania połknąć może, bo nie targa, lecz wszystko w całości pożera; pszczoła dla niej już niewygodnem pożywieniem. Po drugie, ona przezorna i rozumna, wie dobrze o żądle i wie, że szeroką paszczę to żądło ukłuje; a ona nie ma czasu i siły zabić pierwej pszczoły, jak robią inne ptaki, *bo to latający pośpiech*; jeżeli głodem przymuszona leci do pasiek i nad kwiatkami zbiera, to czasem porwie trutnia, i to wyjątkowo. Czy jej za złe wziąć możemy, że czasem zjada trutnie, których tyle na świecie? Proszę was bardzo, nie dawajcie wiary tej potwarzy rzuconej na jaskółki przez złych mieszczan, niechętnych dla jaskółek. Nie szkodę, lecz ogrom pożytku nam przynosi. I tak ścigajmy okiem bujającą jaskółkę i uważajmy, ile razy uchwyci owad w owczarni lub stajni, przez godzinę liczymy, wiele usłyszymy kłapania, a każde dowodzi złowienia muszki; z zegarkiem w rękę notujmy przez dwie godziny ranne, ile razy z owadem wlecą jaskółki, aby piskłębom żer podać, a porachowawszy przez szesnaście godzin dnia pracy, spiszemy takie olbrzymie cyfry, że je mało który rozum obejmie — może tylko ten, który pojmuje liczby długów niektórych państw europejskich.

Smutno mi się w duszy robi, gdyż pomyśleć muszę o odlocie tych lubych ptasząt, bo po tym odlocie i ja martwięę, przyroda cała choruje, gotuje się na śmierć zimową. Ptaszki, moi towarzysze, oniemiały, już do mnie nie przemawiają, oko się jaskrawymi kwiateczkami nie rozerwie, nie wytechnie na zielonej murawie; lecz wy tego czuć nie możecie, dla was i w grobowym okresie roku w mieście są rozkoszne chwile, a ja wzdycham długich siedm miesięcy za mymi towarzyszami. Wiem ja dobrze, że na te, krepą czarną okryte myśli niejeden wrzrzy ramionami, niejeden powie: To chorobliwy stan duszy, nerwowość kobieca. Lecz miejcie wzgląd, że ja badacz przyrody i że dlatego tylko zgłębiałem jej skrytości, że z zaniłowaniem i poświęceniem topiłem duszę mą w badaniu; nie weźcie mi za złe tego mego żalu, który mi się z pióra mimowolnie wylał. Teraz mi lżej, a zatem opowiem wszystko, opowiem: jak się gromadzą, jak się skupiają gromady w większe hurmy, hurmy często w jaskółcze chmury, i nareszcie opowiem, jak odlatują, które lecą i gdzie zimują.

W naszym kraju, w przestrzeni jak ją wszyscy pojmuwać powinniśmy, już koło 20. sierpnia gromadzą się młode rodziny pod jednym dachem wychowane; to już stanowi częstokroć stadko złożone z 40 do 60 jaskółek. Już razem latają, razem nocują po trzcinach, na drzewach lub dachach. Po kilku dniach, pożegnawszy się z każdym rodzinnym zakątkiem, zanuciwszy wspólny śpiew pożegnalny, zrywają się do świtu i odlatują ku południowi. Ten pierwszy odlot mało uważany, gdyż rodzice jeszcze bawią i zapełniają nasz widnokrąg, a zatem tyle jest jeszcze jaskółek, ile przybyło na wiosnę; dalej jaskółczęta z drugiego siedzenia bujają ustawicznie przed

nami. Gdy zbiór ten dla pięknej pory spóźniony nieco bywa, wtedy gromadzą się jaskółki z jednej wsi na zbiorowe miejsca, obsiadają stare drzewa lub dachy i radzą długo nad przedsięwziąć się mającą podróżą, postępują znowu ku południowi i zatrzymują się na obfitych żerowiskach czasem i dni kilka i znowu dalej do krain, gdzie owady w zimie latają.

Zdarzało się niejednemu spostrzec, że już niema jaskółek na początku września i znowu się pojawiły. To już nie nasze ptaszęta, te już opuściły nas, a te co widzimy, to pielgrzymy, co dla odpoczynku i pożywienia chwilę się zatrzymują i odlatują. To znikanie i pojawianie się jaskółek szczególnie często się powtarza dla tych, co na gościńcu ich podróży mieszkają; tamtędy większa część dążyć musi i na oznaczonych etapach żeruje i odpoczywa. Nie ciągną one misternie, jak inne ptaki, gdy pilno, a głodu niema, lecą jak można najpilniej, a jak szczęśliwy wiatr im dopomaga, wcale się do ziemi nie zniżają; przeciwnie, gdy wiatr się zmieni, a słońce nastąpi, spuszcza ją się jak najniżej i goniąc i łowiąc owady przetrwają ten przykry czas. U nas po 20. września ciąg główny jaskółek skończony, widzieć się dają spóźnione rodziny z drugiego gniazda, które się do lotu hartują i pod przewodnictwem rodziców pędzą w nadziei, że gdzie na brzegach rzek i jezior, a w najgorszym razie nad morzem dogonią główną armię, która się zawsze na tych miejscach zatrzymuje, organizuje, dzieli w korpusy i czeka, jak żaglowa flota, na pomyślny wiatr. Jeszcze spostrzegamy później pojedyncze jaskółki, kopiące powietrze swawolnem skrzydłem, jak Kochanowski mówi, latające jak błędne ptaszęta! O, to biedne żyjątka, które najczęściej głodowa śmierć zamorzy lub też zimno

zmrozi; ten lot błyskawicy, te niespokojne ruchy, ta niepewność kierunku, wyraz smutny — to oznaki rozpaczy za towarzyszami, to żal za rodziną, to nareszcie przecucie przedwczesnej śmierci!

Instynkt to najgłębsza nauka, to Boskie światło, nieomyłne; szczęśliwy, kto go posiada. Jak często przed czasem gromadzą się jaskółki, starsi przewodniczą, szczebiocząc, młodzież swawolną do wędrówki namawiają; lecz ta, widząc latające owady, czując jeszcze grzejące promienie słońca, używając rozkosznej kąpieli, protestuje hałaśliwie. Przewodniki raz, drugi się zrywają, lecą w oznaczoną stronę, oglądają się — drużyna nie leci; wracają napowrót i znowu napominają głośniejszym szczebiotaniem. Nareszcie, radzi nieradzi, posłuchają rad starszyny i ulatują przed grożącym niebezpieczeństwem; i istotnie zimna słońca długotrwała następuje. Gdy jaskółki smutne często na mieszkaniach siadają, opuszczają skrzydełka, smutnym wzrokiem pociągają wokoło siebie i nie świergocą: o, niech gospodarz baczny będzie, bo to nieomylna oznaka zimnej słońcy. Gdy te ptaszyny w lecie szybko nad wodą lub powierzchnią ziemi latają, powtarzając przeraźliwie dwie nuty ustawicznie, wtedy będzie deszcz; one do siebie mówią »Śpiesz się z jadem, siostró, bo gęste krople z nieba lot nasz wstrzymają; donoś dziatwie pożywienie, bo do domu uciekać wypadnie«.

Gdy niebo brzemienne chmurami, wiatr boleśnie wyć zaczyna, staropniowe drzewa lamentują, słońce się od ludzi odwraca i dzień ciemnieć zaczyna, a wszystkie zwierzęta smutnie ku ziemi spoglądają i człowiek wzrok błagalny do nieba wznosi, pełen trwogi i oczekiwania; gdy pierwszy odgłos odległego jeszcze grzmotu słyszeć

się daje, jak mruczenie potworu: o wtenczas jaskółki, wirujące w powietrzu, przesywające z niepojętą szybkością lotu nasz widnokrąg, a żałośnie piszczące, niepospolicie przyczyniają się do uzupełnienia obrazu, jaki przed burzą widzimy. Gdy pierwsze krople padać zaczynają, a łoskot piorunu słyszeć się daje, wszystkie jaskółki w jednej chwili znikają tak szybko, że żadne oko doścignąć ich nie może, zdmuchniętych czarodziejskim oddechem z horyzontu.

Mimo ich instynktu, rozumnego i praktycznego doświadczenia, niemałe klęski na nie Opatrzność spuszcza. I tak, w latach 1817., 1829., 1839., 1845., 1853. i 1855., krocie ich z zimna i głodu w śnieżnych wiosnach zginęło. One to nieszczęście przeczują, widziały je zbliżające się: lecz ich terminy są nieodwołalne, one ich dotrzymać muszą, bo tak prawidła przyrody każą; a gdy bieda za ciężką się stawała, wtedy też już sił nie stało do ucieczki. W ostatnich wyżej wymienionych latach spadały z powietrza głodem osłabione, zimnem przejęte, a na człowieka, tego ich towarzysza, przyjaciela i opiekuna, smutnie patrzyły, z tym wyrazem, co mówi: dla nas już żadnego ratunku niema, już się z życiem rozstać wypadnie! Inne, wniesione do kuchni, piekarni, stajen i owczarni, przychodziły pomału do siebie, z początku cicho wabiły, potrzepotały skrzydełkami, a wdzięcznie zanuciwszy podziękowanie, dalej w pogoń za muszkami! Jak tylko od zimna struchlałe członki ogrzały i kilkunastu muszkami głód zaspokoili, zaraz do okna biły ustawicznie, błagającym piskiem prosiły o wypuszczenie, bo tu im za duszno, za ciasno: im trzeba wolności, nieograniczonej przestrzeni; bo jaskółka się w żadne karby ująć nie da, stworzona do bujania

w powietrzu. Niejedna później przez otwarte okno wleciała do tych gościnnych mieszkań, siadła na gzymsie, zaświergotała harmonijnie na znak pamięci wdzięcznej, potem okrążyła przestrzeń, złowiła kilka muszek i znowu w świat powędrowała, i te dziękczynne odwiedziny kilka do kilkunastu razy w ciągu lata powtarzała.

W opisach podróży, kapitanów okrętów, OO. Missyonarzy, napotykamy terminy, w których jaskółki przybywają do ciepłych krajów: między 5. a 20. października przylot ich przez długie lata był notowany w Senegalii, na przylądku Dobrej Nadziei, na wyspach Kanaryjskich, w Jamajce i t. d. Niejedno stado jaskółek, opuszczając południową Europę ku końcowi września, w kilkunastu dniach w tych odległych krajach staje. Ich marszruta mądrze obmyślana, a ich wczesny odlot z naszych stron dowodzi ogromu przezorności; najrychlej dążą na południe, aby tam nad brzegami jezior i stawów, wokoło włościańskich mieszkań, nad stadami owiec i bydła, doczekać się przy obfitem żerowisku pomyślnego wiatru, a jak tylko ten wiać zaczyna, zaraz korpus w subordynacyi ruszać się poczyna; żagli rozpościerać nie potrzebuje, bo zawsze niemal rozpięte i odlot w jednej chwili rozpoczęty o którejkolwiek godzinie. Gdyby nie tak wcześnie od nas wyruszały, wtedy spóźniona pora nagliłaby je, a często i zmuszała podróżować za ocean z niepomyślnym wiatrem, przez co te rozliczne armie byłyby narażone na ogromne niebezpieczeństwa. Marszruta prowadzi je zawsze nad wyspami, gdzie wypoczywają i tam równie wiatru pożądanego czekają; częstokroć zmęczone, tysiącami obsiadają maszty okrętów i świergocąc dają oznaki radości, że znowu w towarzystwie ludzi się znajdują. Gdzie mogą, tam nocują.

Są to ptaki, które w ogólności w późnej ciemnej nocy podróżować nie lubią i to tylko w nagłej potrzebie robią, a jeżeli zdarza się sposobność, którą zresztą dziwnym instynktem przygotować umieją, wtedy nocują na drzewach lub na skałach, a wylatują przed wschodem słońca i lecą późno w wieczór.

Od czasu ustawienia słupów telegraficznych i wyciągnięcia drutów przy liniach kolei żelaznych, odlatujące i podróżujące jaskółki obrały sobie te druty za punkta obserwacji i wypoczynku. Każdy podróżujący spostrzegał siedzące na tych drutach jaskółki, po kilka, kilkanaście, a niekiedy po kilkaset przytulonych do siebie, jak gdyby na rożen wbitych. Stacje kolei tak często telegrafem korespondują, że nie można przypuścić, żeby jaskółki nie doznawały elektrycznego poruszenia. Wiele razy i przez długie chwile uważałem jaskółki na drutach siedzące, lecz nigdy nie spostrzegłem, żeby były raptownie spłoszone; co dowodzi, że ruch telegraficzny nie oddziaływa na te delikatne organizmy.

Znany podróżnik Adanson, równie znany misjonarz O. Jezuita Kircher, podają nam nader ciekawe szczegóły o przylocie jaskółek w powyż cytowane kraje. Pierwszy opisuje, że nie jeden raz napotkał w nocy na piasku śpiące jaskółki po dwie, trzy do czternastu razem na brzegu morza (oczywiście gdzie drzew i wyniosłych siedzib nie było), tak zmęczone, że się poderwać nie chciały, a gdy powracał na drugi dzień, już ich nie natrafiał. Ojciec Jezuita, który długie lata w Azji przepędził, daje nam ciekawe daty przylotu i odlotu jaskółek i utrzymuje, że się spotykają z bocianami i w tesame kraje lecą, co i ci nasi opiekunowie; dalej powiada, że w Libii i Etyopii całą zimę przepędzają. Lecz zostawmy

podróżujące jaskółki, gdzie je instynkt pędzi; im tam lepiej między dzikimi ludami, bezpieczniej na puszczy, niż w postępowej Europie, w której gdzieniegdzie chciwość smakoszy posunięta do tego stopnia, że nawet i te odrobiny tak nam pożyteczne pożerać usiłują, a wspomnijmy o wrażeniach, jakie nam zostawiły w kraju.

Jaskółka, jak już mówiłem, to pośpiech uosobiony, zidealizowana wolność bez granic, lecz przytem czuła, wdzięczna, rozumna ptaszyna. Nigdy nie zapomnę, gdy w srogiej wiośnie roku 1853. otworzyłem zmarzniętym jaskółkom wrota do owczarni, z jakim rozkosznym śpiewem wleciały do środka, a potem jak na podziękowanie, gdy wszedłem za nimi, okrążały tak blisko głowę moją, że ledwie o kilka cali czasem od mej czapki były, zawsze harmonijnie nucąc; potem puściły się w pogoń za muchami, które już tam dawno przed zimnem się schroniły, i niepospolitą klęskę im zadały. Jaskółki, uspokoiwszy głód, siadły na belce i śpiewać poczęły wesoło; ja siedziałem naprzeciwno z rozczuleniem, bo ten hymn dziękczynny był dla mnie i ja je dobrze rozumiałem. Po godzinie już nowy niepokój, znowu ciasno, znowu duszno; już moje republikanki tych pętów znieść nie mogły, to do wrót, to do okien pukały i napierały się na dwór. Naturalnie wypuściłem je, bo jakże nie miałem zrozumieć moich lubych ptasząt? Wyleciały znowu z ukontentowaniem, bo mimo, że tam chłodno i głodno, lecz tam niczem niekrępowana wolność; świat cały, to ich przestrzeń, niebo i ziemia jedynemi granicami. W tych słotach robiłem sobie codzien tę zabawę wpuszczając i wypuszczając moje jaskółki i zawsze odbierałem tesame oznaki wdzięczności w locie i śpiewie. Byłe ruchu jaskółki nie hamować, to można ją do wielkiego przywiązania

doprowadzić; nawet do tego stopnia, że sześć miesięcy później, po odbytej podróży, powraca do mieszkania, pozna dobroczynicę, pozdrowi śpiewem i niemal codziennie wita go w domu i na dworze.

Czułość jej w każdej porze podziwienia godna — i tak, miło patrzeć na starsze rodzeństwo, jak się młodszemu opiekuje, jak pomaga znaleźć pożywienie, jak prowadzi na spoczynek; a cóż dopiero powiedzieć o czułości małżeńskiej i o przywiązaniu rodziców do dzieci! Ież to w autorach podań czytamy, że rodzice powracając do piskląt z łowów, zastali mieszkanie w płomieniach, zatrzepotali więc w oddaleniu chwilkę, żałośnie zawabili i w ogień się rzucili, nie mogąc tej straty przeżyć. Podziwiać musi ich tkliwą czułość każdy, co zbadał ich życie, podziwiać poświęcenie dla towarzyszek, rozum i pamięć.

W letniej porze, gdzie człowiek, tam i jaskółki: one są pociechą błądzącego, one są wskazówką dla żeglarzy, one ich nadzieją, że stały ląd niedaleko! Ież to opisów podróży morskich mieści w sobie rozczulające obrazy na widok pierwszych jaskółek! W dziele o podróży Krzysztofa Kolumba przez p. Roselly de Lorgues 1857. jest opis wrażenia, jakie wywarła jaskółka na całą osadę okrętową tego uczonego męża: od znakomitego geografa do posługacza i chłopca wszyscy w łzach tonęli, a potem zgiąwszy kolana, korzyli się w dziekczynnej modlitwie przed Wszechmocnym Panem świata, bo już wtedy żaden o bliskich brzegach Europy nie wątpił. Ten rozczulający obraz, tę modlitwę, to jaskółka sprowadziła, jak sprowadza tyle myśli u ludzi z czuciem i sercem: myśli rozrzewnienia, pokory i podziwienia; jak

sprowadza zawsze zastanowienie nad ogromem mądrości, która stworzyła i prowadzi przyrodę całą w ogólności, a każdą ptaszynę, każdego robaczka w szczególności przez całe ich życie! Czy my jej możemy nie kochać, gdy pomyślimy, co za dobrodziejstwa ona nam świadczy, że ona nam wiosnę, a z tą uroczą porą i łaskę Boga z Jego dobrodziejstwami sprowadza? Gdy rozum nasz badawczy zgłębi jej życie i pozna tę organizację tak mądrą tego licznego zawsze towarzystwa, organizację opartą na miłości i pomocy wzajemnej; gdy nadto obejmujemy myślą tę urzeczywistnioną wolność w tem lotnem żyjątku, które wszędzie ma pożywienie, wszędzie umieszczenie, a przecież garnie się do człowieka, bawi go, uwalnia od owadów, a przytem nuci mu ustawicznie harmonijnym śpiewem, zawsze go przyjemnie zatrudnia: powiedzcież szczerze, czy jaskółka nie znajdzie drogi prowadzącej do serca waszego? Nie prawdaż, wy nie pozwolicie już niebacznym klucznicom i kucharkom wybijać gniazd ich na strychach waszych; przebaczycie jaskółce, że czasem i to pewnie przypadkiem upuści esik na wasze mąki, krupy lub słoniny; bądźcie pewni, że ona stokrotnie ten nieporządek zapłaci, łowiąc wołki, muchy, żuczki szkodliwe, ich jaja, robaczki i poczwarki.

W opisach marynarzy nieraz zdarzyło mi się czytać zajmująco skreślone wrażenia, jakie sprowadza gromada zmęczonych jaskółek, która siada na masztach okrętu. Z początku radość wielka, lecz to złudzenie krótkotrwałe, bo każdy z nich wie dobrze, iż jest na wielkim oceanie między niebem a falami morza, daleko od matki ziemi, daleko od bliźnich; po ukończonej służbie najprostszy majtkowie, dalej załoga, oficerowie i nareszcie kapitan sam, wszyscy, uczeni jak prostaczkowie, siadają

lub stoją bez ruchu, każdy spojrzę na te towarzyski lata naszego życia, zachmurzy czoło, zaduma się i zasępi; myśl pędzi w przeciwnym kierunku statku, sięga pod strzechę rodzinną, dotyka braci, sióstr, starego ojca i zgrzybiałej od starości matki: młodzieży serce mięknie, bo któż z tych wszystkich odważnych młodzieńców nie zostawił na stałym lądzie czule dla niego bijącego serca, nie opuścił sympatycznej istoty, która go łzawem okiem żegnała i błagała o powrót, bo ich życie miało być nierozdzielne! Widzicie, czytelnicy moi, cała załoga rozczulona, a wiecie, że rozczulenie zawsze duszę do Boga podnosi, wiecie, że rozczulenie odwraca od grzechu, sprowadza szlachetne uczucie, jest zawsze bodźcem do dziękczynnej modlitwy. To dobre, co opisałem, to jaskółeczka corocznie wszędzie i kilkakrotnie sprowadza: czy jej jeszcze nie będziecie kochali? nie będziecie bronili przed ludźmi bez uczucia a chciwymi? Jeżeli jeszcze nie wzbudziłem dla niej czulej pamięci, to ją dalej chwalić będę, abyście pojęli, że Polska w lecie bez jaskółek jeszczeby była smutniejszą!

Ileż to razy na mych wycieczkach w Alpy, Tatry i Karpaty już do domu zatęskniłem, ileż razy niepewny mej drogi, wahającymi krokami zmęczenie powiększałem i błędząc przeklinałem ornitologię i jej następstwa; ileż razy ty, miła jaskółeczko, błysnęłaś mi białym twym brzuszkiem, a świergotając wesoło, mnie pocieszałaś! Kiedy ty tu, myślałem, to i ludzie i ich mieszkanie nie daleko — i zawsze tak było; ty mnie nigdy nie zawiodłaś, luba towarzysko. A pamiętasz... Lecz cóż ja piszę, ty pewnie twój żywot już zakończyłaś, bo to już mnogo lat upłynęło, ty już spokojna, kresu twego dobiegłaś; bo twoje życie czynniejsze niż moje, ty już wynagrodzona jesteś;

czynność tak wielka jak twoja, z tym ustawicznym pośpiechem, nie dozwoli podeszłej starości; ty za wiele i za czule kochasz, abyś długo na tym świecie żyć mogła; lecz ty masz pamięć, bystry rozum, ty pewnie dziatkom opowiedziałas, a dziatki wnukom tę noc pamiętną burzy i ulewy na skałach naszej polskiej Szwajcaryi w Ojcowie, ten dzień gniewu Bożego, pełny Jego słów grzmiących, którego ja nigdy nie zapomnę, a ty mej pamięci jeszcze dziś wiele dopomagasz: ja wtedy poznałem twój poczciwy pociąg do człowieka, twe czułe serce i przywiązanie do dziełek.

Było to ku końcowi maja, jak się spinałem po skałach za gniazdami drozdów skalnych, bo jaja ich w naszym kraju nieznane były. O to mi chodziło, aby dokładnie opisać cały proceder lęgu, a ja jeszcze wtedy byłem ambitnym chwały odkryć, wtedy jeszcze cieszyłem się, gdy mnogie odkrycia do czasopism niemieckich podawać mogłem, zawstydzając tych głębokich uczonych, wywodzących swą naukę od arki Noego, którzy badając przyrodę w zakurzonej gabinecie, ślęczą nad żyjątkami wypchanemi lub pływającemi po słojach nalanych spiryтусem, którym oczy nad księgami wyciekły, a którzy przyrody nie znają. Lecz to do rzeczy nie należy, a zatem opowiadajmy dalej.

Spinając się po skałach, szarpiąc suknie na łomach kamieni i sterzących odłamkach, piąłem się do góry do moich drozdów. Naturalnie zapomniałem o wszystkim, a wzrok miałem utopiony w tę parkę ciekawą do badania. Światło pomału znikać zaczęło, bo niebo srogim marsem się pokryło, huk daleki jak podziemny, gdy ma nastąpić wybuch Wezuwiusza, słyszeć się dawał, a ja, z okiem wlepionem w samca, który na swej skalnej

wysokości bezpiecznym się czuł i na mnie wcale nie zważał, nucąc swej ulubionej samicy, siedzącej na jajach — piąłem się ciągle, raczkując do góry i podpierając się strzelbą. Aż tu straszliwy wichur zaczął łamać drzewa, toczyć kamienie, ogniste zygzaki powietrze przeryniają, wybierając sobie najwyższe drzewa lub sterzące kończyny skał za cel ostateczny, rzadkie krople lodowatego deszczu padać zaczynały coraz gęściej na mój ubiór letni, aż nareszcie lunął deszcz, jak w potopie, istne wodne pręciki, zaczynające się w chmurach, a końcem sięgające ziemi. Ocucony tą zimną kąpielą, spojrzałem w górę i zobaczyłem małą, lecz dosyć wysoką grotę, zakrytą wielkim kamieniem. Dziękując Bogu, dodrapałem się do środka i otrzepując krople deszczu, szukałem schronienia. Ledwie usiadłem, aż tu wlatują pędem strzały dwie jaskółki dymówki, gorzej zmoczone niż ja; usiadły blisko siebie na skale naprzeciw mnie, popatrzyły, zaświergotały na pozdrowienie i w cichości muskały pierze. Po godzinie, gdy dobrze wyschły, zaczęły sobie nade mną łowić muszki i pająki. Oczywiście była to parka małżonków, od gniazda ulewą zapędzona do groty. Zaczęły z sobą rozmowę, z początku cichą, później coraz głośniejszą, nareszcie świergocąc jedna wyleciała; niebawem powróciła zmoczona, pokazując towarzysze skutki tej wycieczki. Druga, jak mi się zdaje, samiczka, niecierpliwa a niespokojna o gniazdo, po chwili wyleciała, a samiec, już w zapale swoim usłużnym dostatecznie ostudzony, smutnie za nią patrzył w nasz otwór. Gdy znowu wlatywała, on zaszczebiotał, ona mu odpowiedziała, monotonicznie powtórzyły tęsamą nutę, samiczka wysuszyła pierze, przytuliły się do siebie (była to szósta godzina wieczorem) i zadrzemały. Była to rozmowa,

którą byłby każdy zrozumiał. Wleciawszy, pozdrowiły mnie, potem narzekały na słotę; ona mu się skarżyła, tęskniąc za gniazdem, on ją reflektował, że w ten deszcz dolecieć nie można i że zginą; ona swoje, on swoje, nareszcie go na świat wypędziła, a gdy biedak zmoczony wrócił, ona, chcąc na swoim postawić, sama wyleciała na przekonanie; małżonek smętnie za nią pociągnął wzrokiem, żałując tego uporcu, który samiczka nazywała charakterem i wytrwałością, a gdy powróciła w oplakany stan, nie wyśmiał jej, lecz przebaczył. Długo myśląc nad tą parką, i ja ogrzawszy się nieco, zasnąłem tak szczęśliwie, że przy wschodzie słońca wesołe świergotanie jaskółek mnie przebudziło; one dla mnie tylko zaświergotały, gdyż jak tylko na nie popatrzyłem, trzepocąc skrzydełkami, zaśpiewały mi „*adio amico*“ i w świat ruszyły swym szybkim lotem.

Powiedzcież sami, czy to nie ludzki epizod?

Z wszystkich dokładnie mi znanych ptaków, szczególnie jaskółki i sikory łączy solidarność miłosierna w niesieniu pomocy do wychowania obcych piskląt. I tak młode jaskółki z pierwszego gniazda, nie mające w tym locie innych obowiązków jak pożywienia szukać, igrać w powietrzu i nucić chwałę Bożą nieharmonijnym jeszcze głosem, te jaskółki, jak gdyby się wprawiać i przygotowywać chciały do przyszłych obowiązków rodzicielskich, noszą pożywienie innym pisklątom. Taksamo robią, widząc z drugiego zniesienia spóźnione ptaszyny, którym rodzice z przyczyny chłodnego już powietrza, dostatecznego pożywienia dostarczyć nie mogą. Więc instynktowe uczucie litości pobudza do potrojenia pracy i zabiegów; śpieszą się, aby przed terminem podróży i te pokrewnione towarzyszeki wyprowadzić z gniazda i zabrać z sobą

w podróż. Rozczulający to widok, gdy kilka lub kilkanaście jaskółek ku jednemu gniazdu nadlatuje i każda w dzióbku muszkę lub robaczka niesie; trzepoce skrzydełkami, zawabi, jak gdyby powiedziała: »śpiesz się, dziecię, bo ja czasu nie mam«; i znów druga i trzecia. A piskłeta, tłuste jak kluski, cierkają otwierając dzióbki; zdziwione tą niespodziewaną obfitością pokarmu, rosną śpiesznie, jak baby na drożdżach. Nareszcie rodzice drugie rodzeństwo wyprowadzają na świat i jak zawsze, scena się odbywa na dachu. Tam, jak przy gnieździe, miłosierne jaskółki o swych adoptowanych dzieciach nie zapominają, donoszą im żer, zachęcają do lotu i tak się nimi opiekują, że po kilku dniach już młode ptaszyny hurmą latają. Gdyby nie ta czuła litość i większa ilość samców niż samiczek w gromadzie ptaków, które, nie żyjąc w tym roku w małżeństwie, poświęcają się pokrewnionym, a w kłopotach zostającym, z całą miłością, jaka charakteryzuje moje lube żyjątko — jakżeby one mogły dwóchkrotną dziatwę jednego roku na świat wyprowadzić!

Trzeba wam wiedzieć, łaskawi czytelnicy, że Bóg w swem dla nas miłosierdziu tak w przyrodzie zrządził, że co nam najpożyteczniejsze, to się najliczniej mnoży; więc w swym ogromie łask dla ludzkości, a szczególnie dla wieśniaków, nakazał sikorkom, aby znosiły po 15 do 17 jajek, dwa lub trzy razy do roku się mnożyły i tym sposobem działał, że jedna parka tych drobnych ptasząt wydaje na świat w jednym lecie 30 do 40 pożytecznych sikerek, które, nie opuszczając nas jak inne owadożerne ptaki, dni 365 zbierają robaczki, muchy, larwy i poczwarki. A gdy sroga zima nadchodzi, rodziny kupią się razem i dobroczynnymi marszami przeciągają

po sadach, ogrodach, gajach i lasach, skrzętnie zbierając po gałęziach i w korach drzew zniesione jajka owadów i motyli i tem sześciomiesięcznem polowaniem, pełnem poświęcenia dla nas, wzbraniają wyklucia się gąsienic, które bez tych naszych pracowitych ptaszków pomnożyłyby się do nieskończoności i nie zostawiły jednego listka na drzewie. Tak to nasze sikorki, są to opiekunki naszych krzewów i owocowych drzew. Sikorki dzielimy na leśne i trzcinne; pierwszych jest siedm gatunków, drugich zaś dwa. Pierwsze gdy tylko śnieg zginie, wyszukują sobie przeszłoroczne dziupły w pniach drzew lub gałęziach, wyczyszczają je schludnie i zaraz znoszą tę wielką ilość jaj, która zdaje się ludziom prawie niemożliwą; a cóż dopiero gdy pomyślimy, że wszystkie muszą być równym ciepłkiem ogrzane, który znowu tylko od małego ciątka matki pochodzi. Więc czasem i kochający ojciec się poświęca, głód cierpi; oboje biedują, w nocy wspólnie wysiadują — i to poświęcenie nareszcie dobrym skutkiem uwieńczone. Zdarza się wprawdzie, że tu i ówdzie w gnieździe zostanie jedno lub kilka jajek niewysiedzianych i zepsutych, lecz zawsze to olbrzymie dzieło wysiedzieć 15 do 17 sikorek! Wszakże to poświęcenie jest niczem w porównaniu tego, które kochającą parkę czeka później, gdy ta gawiedź ustawicznie o pożywienie piszczy. Krzątają się rodzice, jak mogą, lecz nastarczyć niepodobna; lecą na wszystkie strony głosić swe kłopoty, żalą się sąsiadkom, skarżą przed krewnymi, że przyjdzie zagłodzić kochane dzieci. Sąsiednie parki w podobnym ambarasie, zamiast pomocy, równie obarczone liczną dźwiatwą, jeremiady świstają, narzekając na ciężkie czasy, aż nareszcie bezżenny

samiec ofiaruje swe usługi i pełen poświęcenia żywi obce pisklęta *).

Wybaczcie ten ustęp, nie należący do mej historii o jaskółkach, lecz to podobieństwo w poświęceniu wprowadziło mi w pamięć kilka zdarzeń, które mnie rozczuliły i nigdy tych scen sikorek nie zapomnę.

Mój zacny i uczony przyjaciel doktor Ludwik Thienemann, mieszkający pod Dreznem, tyle zasłużony badacz ornitolog, miał z jaskółkami ciekawe zdarzenie, które tu umieścić muszę. Zdaje się, że was zająć powinno, bo dowodzi w jaskółkach wykształconego uczucia, pamięci i przywiązania; z drugiej strony ujrzenie szkic tego autora, pełnego poświęcenia dla ornitologii. W połowie czerwca roku 1841. szczęśliwie wywiodła parka jaskółek dymówek pięcioro piskląt i wyprowadziła na świat. Lecz chociaż to było w Saksonii i w miesiącu czerwcu, wilgotne zimno dokuczało wszystkim żyjątkom. Posiadały jaskółczęta szeregiem na gałęzi stojącej przed domem akacyi i w smutnem usposobieniu czekały na żer, który rodzice mieli przynosić. Mijały godziny, a rodzice mimo wysień nie mogli złowić owadów, które pochowały się były przed słońcem. Głód i zimno już tak zniszczyło siedzące na gałęzi pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nieżywe, a drugie, żałośnie piszcząc o pomoc, opuszczały skrzydełka, a z napuszczonem pierzem trzęsły się wszystkie.

Miłosierny mój kolega, widząc to srogie nieszczęście, które całą rodzinę już ogarnąć miało, otwiera okno, najbliższe siedzących biedaczek, i puszcza im złowione

*) Tosamo poświęcenie widzimy w kuropatwach (*Perdix cinerea*).

w pokoju muchy. Jaskółki chciwie chwytają ulatujące owady, a uczony badacz, zapomniawszy o książkach, manuskryptach i preparatach, łapie z dziećmi muchy po kuchni, spiżarni i pokojach, podając je jaskółkom. Ptaszyny poznały to dobrodziejstwo, odwróciły się wszystkie, chciwie patrząc na okno, i gdy tylko ręka jego się pokazywała, już posilone trzepotały radośnie, a rodzice okrążając to miejsce, wdzięcznie nucili, jak gdyby dobroczyńcy dziękowali, już nie myśląc o szukaniu żeru dla swych dzieci. Tym sposobem uratował z nich cztery pozostające ptaszyny, a gdy słońko zaświeciło, poleciały w świat jaskółki z rodzicami. Dobrze sobie całe lato to okno pamiętały i codziennie wlatywały, gdy im otworzono, wylapywały wszystkie muchy i znowu odlatywały, zawsze pierwszej na gzymsach śpiewkę wynuciły. Nadszedł termin odlotu, więc powędrowały, jak i inne. Lecz następnej wiosny ranku pewnego, trzepoce jaskółka przed oknem, domagając się wpuszczenia, a gdy otworzono, wleciała, okrążyła pokój cały, siadła na ulubionem miejscu i zaczęła nucić wesołą pieśń przybycia. Wlatywała nawet przez otwartą szybkę jedną i gdy wieczór o lokatorce zapomniano, wybrała sobie miejsce do spania na szafie. Pierwszych dni, gdy świece wnoszono, bardzo się ploszyła i latając tłukła się o ściany, później zaś i do tej innowacyi się przyzwyczaiła i wcale się tem sztucznem słońcem nie raziła. Po tygodniu przyprowadziła drugą, która po wielkich ceremoniach narreszcie do pokoju wprowadzić się dała i skromnie przy towarzysze usiadła, garnąc się pod jej opiekuńcze skrzydła. Nastąpiły słoty zimne. Jaskółki w ciepłym pokoju instalowane dostawały muchy, émy i motyle; jak tych zabrakło, więc pająki i larwy mrówek. Dzika przybyszka,

porównawszy to życie z tem, czego towarzyszki na zimnem powietrzu używały, oswoiła się tak, iż z ręki pożywienie przyjmowała i już każdej nocy razem na szafce sypiały. Niedługo trzeba było pomyśleć o gniazdeczku, a tu jak na złość ściany tapetami obite, a drzewo gładkie, bo olejno pomalowane, nigdzie więc bryłki błota przykleić nie można. Radzi więc miłosna parka, próbuje wszędzie, znosi lepkie błoto; lecz te wszystkie usiłowania do niczego nie prowadzą; co przylepią bryłkę pierwszą i lecą po drugą, wróciwszy widzą ją na ziemi: więc już niema ratunku, trzeba opuścić gościnnie dach. Smutnie nucąc, siadają na szafie i spoglądają na swego dobrodzieja, czy też on niema dla nich ratunku? Przeczuwały lubie ptaszyny, że badacz miłujący naturę wykształca coraz więcej pojęcie jej potrzeb, odkrywa codzien tajemnice i narazie jest z tą przyrodą ściśle związany węzłem czułym, a rozumnym, opartym na doświadczeniu. Thienemann, jeden z rzadkich kapłanów przyrody, który ją sercem przez całe życie miłował, a rozumem wciskał się do najgłębszych jej tajników, umiał i tej biedzie zaradzić. Poszedłszy do stajni, odłupał opuszczone gniazda przeszloroczne, przybił kilka na desce i postawił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do naprawy i dalszej budowy; skrzętnie budowały dzień cały i byłyby pewnie ukończyły, gdyby nie nowa przeszkoda. Deszcz z wichrem, trwający dni kilka, przymusił mieszkańców do zamykania okien, więc z jednej strony zimno takie, że na dwór lecieć nie można, z drugiej strony przy najlepszej ochocie otworu nie było. Markocą się moje ptaszyny, bo rzeczywiście już jajka samice ciężyc zaczynają. I temu troskliwy badacz zaradził, postawiwszy miskę z gliną i wodą rozrobioną. Jaskółki zaraz przyjęły podany materiał,

wykończyły gniazdo, a piórka z pierzyn niemieckich w powietrze puszczone i chwytane chciwie, posłużyły na wysłanie środka: i niebawem samiczka rozsiedziała się na 5 jajeczkach. Samiec rozkosznie nucił swe szczęście, rano budził śpiewem swego dobroczyńcę, a pukając w okno prosił o wypuszczenie. Dziwnie ta ptaszyna przywiązała się, na spacerach towarzyszyła mu, gdy były nie bardzo oddalone, lub też wtedy leciała spostrzegłszy swego pana naprzeciw niemu, wołając *diwit witwit!* okrążała go kilkakrotnie i różnymi ruchami i ewolucjami powietrznymi okazywała swe do niego przywiązanie. Często po winnicach i gęstwinach krył się Thienemann, a jaskółeczka tak długo szukała, aż narreszcie go odszukała i wabiąc mówiła mu: *już wiem, gdzie jesteś.* W pewnych naznaczonych dniach, mając urzędowanie w mieście, chodził mój badacz do Drezna. Za daleko jaskółce było lecieć z nim, więc go odprowadzała kawałek drogi, pozdrowiła i wracała do swego gniazda; godzinę powrotu zaś doskonale pamiętała i zawsze ją na temsamem miejscu spotykał, słysząc już z daleka *wit wit!* A gdy czasem zamyślony nie zważał na pieśczołliwe ruchy tej przywiązanej ptaszyny, wtedy nad samą głową trzepotała, okrążała go kilkakrotnie i dopiero, gdy na nią zawołał, uspokoiła się i naprzód leciała do pokoju, a tam zasiadłszy na ulubionem miejscu, głośnym śpiewem przyjmowała swego pana. Innych dni, gdy pracował w ogrodzie lub w winnicy (bo mój kolega i botanik i pomolog), a jaskółka opieką dzieci i żony nie była zatrudnioną, przylatywała do niego i, usiadłszy blisko, nuciła mu rozrywkę. Nawet wśród licznych towarzyszek nad wodą lub pod obłokami, jak ją zawołał, opuszczała wszystko, przyleciała do niego, a okrążywszy

kilka razy, pozdrowiła go i dalej bując poleciała. Nareszcie zasłabł uczony badacz i musiał się do łóżka położyć. Lekarz kazał zamknąć okno, więc zamknęli, a tu jaskółki miały młode; chory więc, nie mogąc swych towarzyszek narazić na niebezpieczeństwo, kazał mały otwór wyrznąć w szybie. I tą nawet małą dziurką wlatywały i wylatywały jaskółki, jak gdyby tę konieczność niewygody były rozumiały; wychowały pisklęta szczęśliwie, drugi raz nie zniósłszy jajek, kilka tygodni wprawiały je do lotu, a gdy termin nadszedł, powędrowały z drugimi.

Trzeciego roku, ku końcowi kwietnia, słyszy Thienemann znowu znane mu *witwit!* głośno powtarzane. Spojrzał w górę i spostrzegł luźną hurmę jaskółek; zawołał — i w tej chwili pędem strzały spuściła się przywiązana ptaszyna ku niemu, dając dowody swej uciechy i pamięci. Tu człowiek pełen czucia tęsknił za swą jaskółką przez długie miesiące zimowe: ona w czasie wędrówki po Azji i Afryce nie zapomniała swego dobroczyńcy; powitali się oboje, on piechotą, ona na skrzydłach pośpieszyli do domu, okno zostało otwarte, jaskółka każdy kącik obleciała, na wybranem miejscu usiadła i długo nuciła swe pieśni, dowodząc, że nic nie zapomniała i że tego roku niemal rozkoszniejsza, niż innych lat, potrafi rozerwać i wywdzięczyć się znowu za przyjacielską opiekę. Sroga to była ta wiosna roku 1843. Zimna, wietrzna i mokra, zniszczyła krocie ptasząt, na wędrówce będących; zdaje się, że i nasza jaskółka straciła żonkę w niebezpiecznej do nas pielgrzymce, bo dni i tygodnie uganiała za jaskółkami, robiła dalekie wycieczki, na noc wracała do swego pokoiku — lecz zawsze sama i sama. Nie mógł ten wdowiec zdobyć żonki na to lato, a jak

sobie wprowadził którą przez okno i pokazał gniazdeczko, to zaraz spłoszona ulatywała i już wrócić nie chciała; on za nią gonił, prosił, śpiewał, gracyą lotu chciał ją zdobyć: nie nie pomogło, żadna nie chciała słać gniazda w pokoju i zależeć w swoich ruchach od człowieka — wolność przekładała nad wszystko. I nasz biedny samiec spędził lato w bezżenności, ciesząc się wyłącznie przywiązaniem do swego dobroczyńcy i przyjaciela, podwojonem brakiem obowiązków dla rodziny i gniazda; ile więc tylko czasu miał wolnego, tyle go poświęcał przyjaźni, śpiewał dużo, odbywał długie spacery, a że byli częściej razem, znajomość stawała się coraz czulszą, przywiązanie coraz większe. Gdy ku jesieni jaskółki gromadzić się zaczynały, nasz wdowiec codzien się z nimi łączył, codzien wprawę lotu odbywał, często nawet noc za domem przepędzał; aż nareszcie jednego dnia przyleciał nad wieczorem, zawabił, jak gdyby chciał na siebie uwagę zwrócić, potem śpiewał głośno, śpiewał długo, a śpiewał smutno, siedząc na temsamem miejscu, a gdy chyliło się ku zachodowi, okrążył Thienemanna, wyleciał przez okno niecierpliw i powędrował w dalekie kraje.

Roku 1844. na wiosnę puka do okna jaskółka, wabi i trzepocąc daje dowody swej radości. Zaiste, z rozczuleniem słuchałem opowiadania tej sceny i, gdybym całe czucie mógł wlać w me pióro, pewnie i wam wzruszenie sprowadziłbym! Cała rodzina, do płaczu poruszona, zbiegła się do sypialni słuchać śpiewu tej wdzięcznej i kochającej ptaszyny; każdy podziwiał tę pamięć serca w drobnem i na oko tak lekkomyślnem żyjątku, które czwarty rok zmiany nie doznało, i mimo przywiązania do dziełek, ciężkich obowiązków legu i wędrówki, mimo że sześć miesięcy żyła między czarnymi

lub miedzianymi ludźmi, nie zapomniała, że pewien Saksończyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł, że jej ze swej opieki nie wypuścił; przez cztery lata dawała więc niezaprzeczone dowody rzadkiej pamięci, czułego przywiązania i trwałej wdzięczności. Zaiste, może nam ona służyć za przykład do naśladowania, bo w ludzkości wdzięczność, ta córa czystych, kochających serc, coraz radsza między nami; płoszy ją chciwość, owładająca wszystkie umysły.

Ten przykład potwierdza me zdanie, że w ptakach, jak w ludziach, indywidualności w tejsamej rodzinie są różne; potwierdza dalej, że ptaki mają instynkt, który więcej lub mniej wykształcają, lecz że rozum, czucie, pamięć w tym samym rodzie w jednych wygórowane, w drugich mierne, w trzecich wcale nie istniejące, i te ostatnie tylko instynktem, tą od Stwórcy daną im busolą, w życiu się kierują. Są ptaki płochliwe, inne z odwagą; te mają łatwe pojęcie, tamte przez cały ciąg długich lat niczego się nie nauczą (o tem wypiszę przy *Jaskółce Brzegówce* ciekawe zdarzenie z mego dzienniczka); są takie, co od gniazda do śmierci płochliwe nad miarę, całe życie w strachu przepędzają; są znowu inne, które rozróżniają niebezpieczeństwo prawdziwe od straszącego a nie istniejącego; równie i takie, co już w pierwszym roku odznaczają się odwagą lub zaufaniem do człowieka, a co więcej nas jeszcze uderza, to rozpoznawaniem niebezpiecznego człowieka od spokojnego i sympatycznego; jak w ludziach, tak w ptakach uczucie bywa różne i stopniowane, rzadko spotęgowane. Którąkolwiek parę badacz pod uwagę wziąć zechce, wszędzie znajdzie, jeżeli się tak wyrazić mogę, inny stopień, inny gatunek czułości i przywiązania. Weźmy tę rodzinę przez

Thienemanna od głodowej śmierci uratowaną: z czterech jaskółek, w jednej tylko uczucie tak szczytne się wykształciło, reszta rodziny prawami rządzącymi ogół żyła dalej, jak większa część jaskółek żyje, nie wykształcając rozumu i uczucia; a może też nie miała do tego sposobności?

Nasz samiec więc znowu przyleciał i, jak to prawie we wszystkich rodzajach ptaków, nie z samiczką, lecz z męską strażą przednią; bo jak to już gdzieindziej wyraziłem, ptaki organizują wędrówkę powrotu z akuratnością i niemal strategią tak dokładną, że nie jeden komenderujący mógłby tam do szkoły chodzić. I tak najstarsze samczyki (stara gwardya) lecą zawsze naprzód i tworzą forpocztę z małych gromad; później lecą w oddziałach licznych samiczki i jednoroczne samce; w kilka lub kilkanaście dni później, podług pory i temperatury, lecą w hurmie słabsze samiczki i inne zmęczone ptaki (to marodery). Wszechmądrość tak zrządziła. Gdyby inaczej ptaki wędrowały, narażałyby się wszystkie na równe niebezpieczeństwa, częstoby żeru nie wystarczyło, a przeciwnie wiatry lub długotrwałe słoty mogłyby cały rodzaj ptaków zniszczyć od razu; podzielone zaś, z czatami na przodzie, z kwatermistrzami kilka dni pierwej do kraju posłanymi, wszystko w tej podziwiania godnej organizacji idzie porządkiem od stworzenia świata.

Gdy tej lubej ptaszynie okno otworzono, ona wszystkie kącki pokoju obleciała, wszystkich pozdrowiła, wszystkich do łez rozczuliła i poleciała w świat za swymi interesami; rodzina zaś cała, zebrana w grono, zadumała się głęboko, niejedna łza zatrzęsała się na powiekach dziewic, niejedno serce przyśpieszyło swe bicie; bo wy wiecie, że gdziekolwiek napotykamy silne przywią-

zanie, ono nas wzrusza, gdziekolwiek napotykamy uczucie nadspodziewanie, tam nasze zadziwienie dziwną rozkosz sercu sprawia. Patryarchalna rodzina cały dzień z wzruszeniem o jaskółce mówiła, dzieci jej muszki łąpały, ona po dawnej znajomości z każdej przyjacielskiej ręki pożywienie przyjmowała. Lecz tej wiosny okazywała się niespokojniejszą niż pierwszej, częstsze i dłuższe wycieczki robiła, nawet w wabieniu, śpiewie, locie i ruchach ta niespokojność przebijała. Nareszcie odkryto, dlaczego ta zmiana zaszła. Oto samczykowi już czuła przyjaźń, gościnna opieka, ojcowska troskliwość, to wszystko już mu życia nie zapełniało: pokochał, pokochał samiczkę.

Nareszcie szóstego dnia w tryumfie ją wprowadził do pokoju. Narzeczona, jak się zdaje, w stajni urodzona, w stajni wychowana, oczywiście w pokoju nieśmiałą była i żadna namowa ni pieszczota nie mogły jej nakłonić. Ile razy tylko mogła, sznurem do stajni; tam pokazywała dawne gniazdeczko, zawsze tam miała zatrudnienie. On perswadował, często surowo napominał i niemal gwałtem do pokoju wprowadzał; lecz to wszystko na nic się nie przydało. Któż samiczki upór przełamie? Mimo tej wady on ją kochał, więc pociągnął za nią do stajni. Tam wyprowadzili pięcioro jaskółek z pierwszego gniazda; nieźle im się powodziło, lato było ciepłe, muszek pełno. Usamowolnwszy dziatwę, wzięli się do drugiego zniesienia i znowu wychowali cztery szczęśliwie. Samiec swego pana nie zaniedbywał; nawet często, gdy samiczka na jajach siedziała, on do pokoju na noc przylatywał, w żadnym zaś dniu nie zapomniał śpiewem dawać dowodu swej wdzięcznej pamięci.

W jesieni zgromadzenia jaskółek już się rozpoczęły, nasz samiec na zbory z rodziną latał, bo to obowiązek, lecz wracał i nawet z dziatwą do pokoju przybywał; aż nareszcie jednego wieczora cała rodzina długo śpiewała, a jak słońce zachodzić miało, wszystkie ptaszyny rwały się na dwór: zdaje się, że na tę noc rozkaz marszu był wydany. Zrozumieli to Thienemannowie, wszyscy posmutnieli, jakieś żałobne przecucie ogarnęło ich serca; bo my wiemy, niestety! że kto kocha, ten się ustawicznie boi; kto kocha, ten ustawicznie niespokojny; kto kocha prawdziwie, ustawicznie strwożony myślą, że ten skarb utracić może. Więc i oni zatęsknili za lubą i rozumną ptaszyną i oni w niespokojności pytali, czy ich miluchna siostrzyczka na wiosnę powróci. Prawdziwe było przecucie, sprawiedliwy żal, zasłużony smutek, bo roku przyszłego daremnie szukano po domu i stajni harmonijnej towarzyszki; powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i niestety! już piątego roku nie powróciła. Przyleciały inne, Thienemann wołał, dzieci wabiły, okno otwierano, muszki puszczano — nie było już między nimi tej ptaszyny, której tu nekrolog spisałem.

I wy, moje towarzyszki ze dworu, folwarku i wsi, odleciecie, bo was prze niezmienny instynkt; powędrujecie w kraje, gdzie niema śniegu, gdzie znajdziecie ogrzewające ciepło, chmury wirujących owadów; powędrujecie tam, gdzie was ludzie szanują, jakby wszyscy szanować powinni, bo wy pożyteczne i dobroczynne żyjątka. Lećcie na południe, zmieńcie tam wasze podróżą zniszczone pierze na lśniącą barwę, lecz wróćcie znowu do nas, przynieście ciepło wiosenne; a zastańcie nas w zdrowiu, czekających niecierpliwie na wasze przybycie. Pamiętajcie,

miłe ptaszyny, żeście tu użyły tylu rozkoszy, że was tu czułe przywiązanie otaczało, tu wychowywałyście drobne dziecieczki! A wy wiedzieć powinny, me czułe jaskółki, że miejsce, w którym pałaliśmy głębokiem uczuciem, tak temi pamiątkami jest przepełnione, iż nas magnetycznie przyciąga. Z was więc te wrócą na owe miejsca, przepełnione błogiem wspomnieniem, które w podróży nieszczęścia nie doznają; lecz czy my, tu zostający, was doczekamy?

Ja później i wasze spokrewnione jaskółki sumiennie opiszę; pewnie opiszę i *jaskółkę oknówkę* i *jaskółkę brzegówkę*, lecz ja tylko do was, me lubę *dymówki*, mam pociąg sympatyczny, wy, które jesteście gracyą uosobioną, obrazem małżeńskiej czułości, przykładem zgody i jedności, ja tylko z całego rodzaju was jedynie kocham, bo ja z wami tyle lat pod jednym dachem mieszkałem, razem my dziatki chowali; wy odlatywały, my was wiernie oczekiwali; wy mnie uwalniały od much, ja was błogosławił; razem my się kąpali, ja cały zanurzony w rzece lub stawach, wy tylko co chwila brzuszkiem maczały, bo pośpiech wam nie dozwalał wygodnej kąpieli; wy mnie i dzieci lotem i zręcznymi łowami owadów bawiłyście, a my was podziwiali. Ja z wami przeżyłem złe i dobre chwile. Często badając wasze życie, czułem głód i zimno; wdzięczny byłem i jestem zawsze, że mi dozwoliłyście zajrzeć pod zastonę waszej organizacyi i zwyczajów, zgłębić wasze domowe pożycie, poznać cały ogrom poświęcenia i cnót społecznych.

A jeżeli wy istotnie duszyczki pokutujące miłych i dobrych dziewic, a zakończycie waszą pokutę na tej ziemi, o wspomnijcie o mnie niegodnym przed tronem Miłosierdzia. Która z was pierwszej będzie wyswobodzona,

niech ta dla waszego historyografa wyprosi łaskę, aby do śmierci chwalił Wszechmocnego, podziwiał przyrodę i dalej ją zgłębiał, pełniąc swe obowiązki. A gdy to wyblągasz dla twego przyjaciela, duszyczko wybawiona, a na niego łaskawa, on tam na górze wysoko, wyżej Tatrów, Libanu i Kordylierów, wyżej obłoków i błękitnego firmamentu, tam gdzie żaden ludzki teleskop nie dojrzy, tam ci, luba ptaszyno, z tkliwem rozczuleniem dzięki składać będzie.

Jaskółka oknówka.

Gdybym chciał tworzyć nazwy, jak nieboszczyk X. Kluk, tłumacząc dosłownie nazwy łacińskie, niemieckie lub francuskie, łudziłbym siebie i czytelników, jak nieboszczyk się łudził, wydając te nazwy za polskie. Moje przekonanie inne. Z wytrwałą sumiennością ich szukać trzeba między wieśniakami, w nich książki jeszcze nie rozpuściły mgły bałamuctwa i nieporozumienia i tam się wiele przechowało nazw, które nauce przyrody wrócić wypada, bo prosty rozum wieśniaka często trafniejsze nazwy stworzył, niż uczone głowy, czerpiące po zagranicznych dziełach; a po drugie, w dawnych czysto-polskich nazwach przechowujemy pamiątki, a pamiątki to nasze skarby, może też podstawy przyszłości, w każdym zaś razie w pamiątkach szukać powinniśmy nauki i opierać doświadczenie nasze. I tak najdawniejsza nazwa polska jaskółek jest Łastówka, nazwa, którą kolejno wszystkim jaskółkom po wsiach dawano, gdyż mamy przekonanie, że prostaczki w naszym kraju rozróżniają doskonale rodzaje ptaków, lecz nie zadawali sobie nigdy pracy te rodzaje na gatunki dzielić i, co nie należało do myśliwskiego zawodu, nazywano podług rodzaju tąsamą nazwą. Łastówka musi

wrócić do ornitologii i zająć przynależne miejsce w spisie ptaków polskich.

Gdybym tak chciał czynić, jak X. Kluk, nazwałbym oknówkę *mieszczką (urbica)*, bo ją wielki Linné nader trafnie nazwał; ona bowiem ma szczególny pociąg do murów i, gdzie tychże niema, niechętnie zamieszkuje, mając w chropowatości muru wielkie ułatwienie do lepienia swego gniazda; lecz że oknówka zatrzymała sobie nazwę, daną jej przez X. Jundziłła, przez długi czas i powtarzaną przez wielu pisarzy, zostawiam ją wprawdzie z żalem wielkim, bo to tłumaczenie z niemieckiego (*Fenster-Schwalbe*); zostawiam i dlatego, że lepi gniazda najczęściej nad oknami, a w kościołach i budynkach, w których okien nie otwierają, kleci swą lepiankę w oknach samych. Oknówka to istna mieszczanka, boi się wprawdzie gwaru ludnych ulic i placów, lecz opanowała przedmieścia niemal wszystkich miast i po skromnych budynkach skromne swe gniazdeczko lepi, a żarłoczną swą czynnością uwalnia mieszkańców od miliardów niecierpliwących owadów, zabezpiecza ogrody i sady przeciw tym niebezpiecznym nieprzyjaciołom; po wsiach opanowała najpierwej kościoły murowane, dalej ruiny nasze kamienne, nareszcie i karczmy, bo cóż to pomoże ukrywać prawdę, jeszcze prawdę okazującą się w kształcie murowanego budynku. Wyznać więc musimy, że najluźniejsze a najpierwsze mury, powstałe w naszym kraju, nie rachując w to świątyni Pańskich, były karczmy; od tego zaczęliśmy postęp w gospodarstwie. Oknówka, ta *czystość uosobiona*, przyjąc musi mieszkanie z brudnym i brodatym arendarzem i co roku zajeżdża z rodziną do karczmy, bawi lato całe, wywdzięcza się codzień za doznaną gościnność,

cicha, spokojna, słodka i miła ptaszyna, którą nawet zimny, chciwy i zawistny żyd chętnie u siebie widzi. Gdzie w gospodarstwie stanie murowany budynek, ona roku przyszedłego pewnie go opanuje, zupełnie tak, jak gdyby dla niej był postawiony; przyjęła równie na letnie mieszkanie glinę na słomie lepione ściany, a gdzie ostre i chropowate drzewo w budynkach dotrzymuje przylepioną glinę, tam i ona klei gniazdo, byle pozostać niedaleko swej rodziny, a w bliskości człowieka, do którego ma szczególny pociąg. Łatwo ją czytelnik od dymówki rozpozna: biały brzusek, błyszczący w locie przy każdym zwrocie; kuperek śnieżnej bieli w szybkim locie wydaje się w oddaleniu jak białe piórko, niesione wiatrem; śpiew jej cichszy, mniej chrapliwy, ma niektóre nuty fletowe; klejąc gniazdo przytula się do niego jak dzięciół na drzewie; a płaszcz niebieskawo-fioletowy z takim połyskiem, jakiego żadne wschodnie makaty pokazać nie mogą: piękna, czyściutka, kochająca ptaszyna, wszystkim żyjątkom za przykład służyć powinna.

Było to 8. września 1858. roku, w dzień Narodzenia Najświętszej Panny, gdy ze służby Bożej przez ogród z rodziną do domu wracałem, a tłum ludu zalegał przestrzeń wokoło kościoła, jeszcze przejęty dobroczynnym ciepłikiem miłości, jaki z przed ołtarzy wyniósł; bo to niezaprzeczone spostrzeżenie, iż cześć dla Matki Zbawiciela jest u nas wszystkich głęboko zakorzeniona, czy to u ludzi na wysokiem stanowisku towarzysstwa stojących, czy w biednej, tak nazwanej dziś *intelligencyi*, której już za ciężko rękami pracować; czy nareszcie w sukmanie, sieraku i w wiernym towarzyszku polskiego wieśniaka, tym charakterystycznym kozuchu. Wszędzie i w każdym, nawet najobojętniejszem i naj-

zimniejszym sercu tli iskierka uczucia wdzięcznej czułości i kornego zaufania do św. Patronki Polski; wszędzie wzrok duszy zwrócony ku naszej Królowej, jak gdyby od Niej tylko pomoc przyjść mogła; w duszy płomień pobożnej miłości, na ustach zawsze modlitwa z nieustającą prośbą. I ci nawet, którzy wyższymi się mienią książkowym rozumem i inną nauką, a wymazali z powinności życia święcenie niedzieli i innych świąt, cisami, czy z resztek krwi, którą rodzice w ich żyły włali, czy też porwani przykładem ogółu lub wstydem przejęci, że się stali wyrodkami Polski, cisami idą machinalnie do świątyni Pańskich, mimowolnie pyszną głowę odkrywają i przed kwiatami ubranym ołtarzem, różnobarwistemi lampami oświeconym, kolano zginają. Czasem bywa i więcej. Sam to nieraz widziałem: gdy cztery dziewczątka w białych sukienkach, przepasane niebieskimi wstążkami, które powiewem wiatru łączą się tak pięknie z wstążkami obrazu, podniosą *Maryę* i kroczą poważnie z różowym uśmiechem na koralowych ustach, tym uśmiechem, co tak jasno mówi: jam czysta i niewinna, ku bramie świątyni, a piersi wszystkich hymn chwały zanuć: wtedy ci nawet, niby wyżsi ludzie, co przepisy kościoła lekceważą, a Rzym ignorować usiłują, cisami parci wspomnieniem przeszłości, parci ogromem zapału zgromadzonego ludu, postępując z nachyloną głową, wtórują mimowolnie śpiewom, a kto wie, czy ich myśl nie pracuje nad przypomnieniem tej nas nigdy nie opuszczającej modlitwy: *Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko; naszemi prośbami racz nie gardzić, Pani.*

Wszyscy tedy odbyliśmy procesję, a lud wiejski rozbiegać się zaczął, jak woda po wylewie, gdy ku nizi-

nom spływa — jedno z dziątek moich zawołało: »Patrz, ojcze, co jaskótek u nas!« Wzniosłem oczy i smutnie zawołałem: »Dzieci moje, to koniec naszego lata, to ostatnie pozdrowienie naszych lubych ptasząt; wiecie wy, dzieci, że one nas jutro opuszczą i my znowu, pokurczeni na duszy i ciele, pod śniegiem i z mrozem, tęskno wyczekiwać będziemy powrotu naszych kształtnych i lotnych towarzyszek tego barwistego osiedla«. Tu dziatki swym kapryśnym rozumkiem badać mnie poczęły, dlaczego Bozia na zimę tak smutnie świat urządził i śpiewakom odlecieć nakazał? Ja im tłumaczyłem, że »w zimie na dworze nic delikatnego żyć nie może, że wszystkie muszki spoczywają pogrążone w śnie zimowym, czekając na ogrzewające promienie wiosennego słońca, a zatem te ptaszęta, które kochacie i podziwiacie, musiałyby zginąć od zimna i głodu; a są kraje, gdzie one na zimę lecą, na które Pan Bóg łaskawszy i którym naszej srogiej zimy nie zsyła. Módlcie się, dzieci, do dobrego Boga, aby was przy zdrowiu zatrzymał, a znowu zobaczycie jaskółeczki lepiące gniazda nad naszymi oknami, bo Bóg w swem nieskończonem miłosierdziu co roku od początku świata temsamemi dobrodziejstwami nas obsypuje«. Wszyscyśmy posmutnieli: dzieci, bo im długo czekać, a dziecko zawsze niecierpliwe; starsi może nie doczekają, bo jesień, to upominek od śmierci i na duszę zawsze krepę żałobną ciska; zima zaś, to figura grobu, ku któremu, wy to wiecie, wszyscy prędzej lub wolniej, lecz zawsze postępujemy.

Chmury na czołach dzieci niedługo zalegają: brak trosk, brak bolesnych wspomnień; wiek ich to wietrzyk majowy, co firmament wymiata. Za dziećmi już świergocąciami, jak pisklęta przed opuszczeniem gniazda;

pociągnęła i matka ; ja zostałem sam zasępiony na miejscu, powtarzając mimowolnie : Jakto, już odlecieć zamysłacie ? już chcecie nam widnokraż zostawić bez waszych migających cieni, które zawsze machinalnie oczami gonimy ? Dumając o moich lotnych wędrowcach, uśmiechnąłem się, pomyślawszy : te lube ptaszyny przyleciały do mnie na pożegnanie, przyleciały do ich wielbiciela, przypominając, że ich historia niedokończona.

Już ich wiele było bardzo, a ustawicznie nadlatywały rodziny, później gromadki i gromady ; zdaje się, że tego roku u ornitologa naznaczone było zebranie ; czy to traf czy instynkt lub przecucie, czyli też ta sympatya, która harmonię w przyrodzie utrzymuje, przyciąga do siebie to, co się wzajemnie kocha, pojmując, odpychając złe, zawistne, chciwe i niebezpieczne : powiedzieć nie mogę, lecz cytuję fakt, że u historyografa jaskółek w r. 1858. oknówki licznie się zebrały i czarną połyskującą wstęgą dom jego otoczyły. Domek to szlachecki, gzymsik więc wąski ; ledwie jedna jaskółka i to niewygodnie przyczepić się mogła. Lecz tak było nakazanem. Jedna więc koło drugiej z hałaśnem szczebiotaniem i przykrymi wzajemnymi wyrzutami, bo to zaiste niewygodna była wielka, okryły ptaszęta gzyms i czarnym paskiem otoczyły mój domek. Nie potrzeba było tej żaloby nowego rodzaju, ja już dosyć smutku w duszy miałem, a spędzić ich nie mogłem : przecie w gościnę do mnie przyleciały, do mnie, polskiego szlachcica ! A cóżby to z nami się stało, gdyby i gościnność za innymi cnotami dziadów naszych powędrowała, jak wędrują ptaki ; z tą różnicą, że chętni wędrowce z pierwszymi promieniami wiosny powracają, a my niestety ! nadaremnie, od tak dawna wyglądamy powrotu tych

klejnotów, zdobiących kraj nasz, a wzbudzających poszanowanie! Wiedzą to rozumne ptaszki, że Polak gościnnie: co ma, to da, a gości broni i własnem ciałem zasłania — i ja więc gości nie płoszyłem, aby jak najdłużej u mnie bawiły, gotując się do wędrówki. Zdawało mi się, że mogły u nas bawić; tego roku owady miały raj na ziemi: ciepło i sucho, a to ich element, krocie much i muszek, chmury komarów wirujących w powietrzu, a co ciem i motyli błąkało się wszędzie, bo to wszystko dorodnie tego lata się wychowało, jeden deszczyk nie zalał jajek, nie zamoczył gąsienic i poczwerek; co samice zniosły, to wydało lotne żyjątka; nawet ciężkie żuki, leniwe twardo-łuskie robaczki w ciepłej i czystej atmosferze rozkosznie w powietrzu się unosiły, bucząc monotonnie, dzięki składały niebu za ten wyjątkowy rok, pewnie w historii żuków *rajskim* nazwany. Moi goście głodu nie cierpieli, gdyż cały widnokrąg był owadów pełen, to też sobie niepospolicie podjadały przed podróżą; to po jednej, to rodzinami zrywały się oknówki i uderzały w hurmy owadów, lub też przed oknami i murem trzepotały, łowiły zręcznie siedzące muchy lub też je płoszyły skrzydełkami i w locie łowiły. Długo to trwało, już się słońko ku zachodowi nachylało, a do podróży przeznaczone jaskółki ustawicznie przybywały. O miejscu na gzymsie mowy już być nie mogło, wypadało szukać gdzieindziej odpoczynku, więc dach zaległy ku północy; to trwało do szóstej godziny wieczorem. Wczas bardzo moje jaskółki do spania się zabrały; zdaje się, że zmęczone podróżą, przykład pierwsze dały, a miejscowe i okoliczne uznały za stosowne wywczasować się doskonale po raz ostatni u szlachcica podolskiego. Jeszcze słyhać było różne głosy wiejskiego obejścia, tumany

kurzu ku obłokom się wznosiły za powracającemi trzodami: dzwony kościoła poważnie dźwiękiem przypominały, iż teraz nadeszła godzina pozdrowienia Najświętszej Panny; psy wypuszczone z całodziennego więzienia, głośnem szczekaniem wolność swą głośiły i każdego byłyby obudziły, biegając wokoło domu: ptaszyny moje, te nasze towarzyszki, na to nie zważały; one żyjąc naszym życiem, znają hałasne wiejskie orszaki i jak żołnierz w czasie gry armat, one wśród stukania, szczekania i beczenia śpią spokojnie snem sprawiedliwych. To też jaskółki, pomieszczone na gzymsie i dachu, w różnych postaciach spały w najlepsze: stare doświadczone matule schowały główki pod skrzydełka, przytuliły się jedna do drugiej i na własnej miękkiej i ciepłej poduszce zasnęły spokojnie; inne siadły rzędem, a napuszywszy pierze, skróciwszy szyję, usiadły na brzuszku, zakryły nóżki pierzem i oczka przymróżły. Najzabawniejsze były postaci na gzymsie siedzących jaskółek, bo już tam tak ciasno i niewygodnie było, że najcierpliwszy ptaszek byłby się musiał poskarżyć; lecz że tam nocleg nakazanym był, więc te szczebiotliwe skargi na nic się nie zdały. Z początku był hałas wielki, jedna drugą spychała, aby wygodniej bokiem usiąść na wąskim gzymsie i oprzeć się o ścianę muru; nareszcie i tam cisza i spokój ustaliły się, trwając do rana. Skoro tylko słońce w kształcie kuli ognistej ukazało się na krańcu firmamentu, już powietrze było zapełnione migającymi jaskółkami; lotem świdrującym przesywały część świata mego przed oknami, wznosiły się ku niebu i znowu ku ziemi opadały jak fale morza; grupami stawały w powietrzu, trzepocąc skrzydełkami, i po chwili trystły ku obłokom, podobne wodzie, śrubą wstrzymanej w wodotrysku

i raptownie wypuszczonej, parły się ptaszęta do wysokości dla mnie nie do obliczenia, gdyż mi się wydawały pod niebieskiem sklepieniem, jakby pod tronem Wszchmocnego odprawiały harce powietrzne. Potem jak gwiazdy spadające ku ziemi (które to zawsze starych i młodych tak dziwnie zajmują), opuściły się ku ziemi. Myślałyby widzieć, że usiądą; gdzież tam! ani nie znają przez dzień cały potrzeby odpoczynku, te żyjątka pół ptaka a pół motyla. Jak ryby w wodzie, tak one w powietrzu pływają bez zmęczenia i, wróciwszy z krainy gwiazd i planet, znowu ku ziemi i nad ziemią, wokoło budynków gospodarczych i domów kołowały, szukając pożywienia, którego jeszcze nie było; bo gnuśne żuki dopiero co z ziemi wylazły, owady w nocnych kryjówkach czekały cieplejszych promieni słońca (bo to piecuszki nie lada, kurczą się i kryją przed najmniejszym powiewem chłodu), a muchy, te pasożytne owady, które Bóg stworzył, aby człowieka ćwiczyć w cierpliwości, chociaż już wstały, nie poleciały brzęczeć pod słońce, lecz naśladować człowieka, pierwszej śniadania użyć musiały, nie zważając na towarzyski licznie potopione w mleku, kawie, herbacie, w sosach i zacierkach, nie poprawione przykładem tysięcy dziennych ofiar, które pchają się do garnków, szklanek, filiżanek, pchają się na półmiski i talerze i giną krociami. O wieleż one nam przypominają istot z nieśmiertelną duszą, które, równe nędznym owądom, puściwszy cugle chuciom i żądzom, giną przed nasyceniem lub się zgubnie walają albo też, przepelniwszy miarkę, podupadają na siłach i z ludzi stają się czołgającymi robakami, wlokąc życie z sobą częstokroć do późnej starości!

Niecierpliwe i zgłodniałe oknówki zapełniły owczarnie, stajnie i obory. Lecz tam dla wszystkich ani miejsca ani też jadła nie było, więc do jedynastej przedpołudniowej godziny niejednej kurczył się z głodu żołądek, długą nocą wyposzczony. Dopiero gdy słońce ciepłikiem swym dobroczynnym ogarnęło przestrzeń i świat owadów wirować zaczął, ptaszyny radośnie świergocąc, nasycone w krótkim czasie, do wieczora po widnokręgu uganiały. Chwilkę przed szarą godziną, za danym znakiem, posiadały na dachu, a taka ich ilość była, że nawet w przypuszczeniu liczby wypisać nie śmiem. Już pokutnicze opuściły gzyms niewygodny, szlak mój żalobny znikł, pogrupowały się na spadzistości dachu, według koleżeństwa i pokrewieństwa, zaświergotały chwilkę, jak gdyby oznajmując, że są w pogotowiu i słuchają; wtedy starsze (zdaje się przewodniczki) obleciały kilkakrotnie dom dokoła, tu i ówdzie piły lub innym głosem dawały napomnienia i rozkazy, nareszcie słyszałem gwarliwe szczebiotanie, jak odpowiedź, że dyspozycje wykonane zostaną. Słonko tymczasem zbladło, chłód wieczorny owiał naszą przyrodę, cisza się ustaliła, a ja wszedłem do domu, mówiąc: »Wiem, co »to znaczy! Bądźcie więc zdrowe, pielgrzymki ruchliwe; »głoście na tamtej półkuli, że jest kraj, w którym go»ścińność panuje, w którym gościńnością bronią się lu»dzie przeciw falom, płynącym od zachodu, a przy»noszącym sobkostwo, materyalizm i kosmopolityzm; »głoście, gwarliwe ptaszyny, iż my się starać będziemy »wszelkimi siłami rozgrzewać marznące serca, rozpo»wszechniać gościńność, tę najstarszą naszą cnotę, naj»pewniejszą podporę miłości bliźniego: a może Bóg miło»sierny ten czysty dźwięk dusz naszych usłyszysz i my

»za waszym przykładem w zgodzie i miłości do przy-
»szłości gotować się będziemy«.

Nie śpieszyłem się rano drugiego dnia z wychyleniem głowy, bo z instynktową trwogą serc tkliwych przeczuwałem smutne wrażenie; i tak być miało. Gdy wyszedłem, cicho i głucho było wszędzie; jaskółki pewnie ze wschodem odleciały; zaświergotał mi tylko prze-
rażliwie wróbel, ten pasibrzuch, materialista ptasiego rodu, jak gdyby chciał mnie pocieszyć oznajmieniem, że on zostanie i inne ptaki przez zimę zastępować mi będzie. Później tu i ówdzie spostrzegałem we wrześniu jaskółki pojedynczo, parkami lub spóźnionymi rodzinami, nawet w dniu 19. października ujrzałem dwie dymówki; ale jakże smutny był ich widok! Ruch przy-
śpieszony, lot szybki i niepewny, w całej istocie przebijał niespokój.

Biedne ptaszyny, pomyślałem, może wam wypadnie w drodze zginąć, bez pociechy, bez pożałowania, bez pożegnania z rodzicami, rodziną i towarzyszkami! O! śmierć na obczyźnie, to musi być sroga męczarnia; samo jej wspomnienie, to katusza dla serca: umrzeć nieotoczonym czułą troskliwością swoich, współczuciem serdecznym, niepocieszonym uronioną łzą żalu szczerego; słyszeć, jak przez sen gorączkowy, obcą mowę, czuć lodowatość otaczających serc, chciwość bezwstydną, która człowieka do grobu przesładuje, a nareszcie widzieć niecierpliwosć tych, którym już na tym świecie za długo miejsce zajętem było; o zaiste, te myśli mogą duszę srogą niespokojnością napełnić; kto wie, Bóg nam pigmejczykom nie z wszystkiego zaśłony zerwać dozwolił, może też moje spóźnione pielgrzymki bujać sobie będą w naszej krainie do chwili, do której owady żyć

mogą, a z zimnem nadchodzącem, zamrożone, w kryjówce wiosny doczekają. Lecz o tem później, a teraz, jak zawsze, przekonajmy się wszyscy, że tak, jak jest prawdą, iż przyroda cała jest ogromem Boskiej harmonii i równowagi, tak jest prawdą, że w większej części rodzajów ptaków ludzkość czerpać powinna przykłady: siły w zjednoczeniu, pociechy w nieustającej miłości, podpory we wzajemnej pomocy, przyszłości opartej na zgodzie, posłuszeństwie dla przyjętych praw, opiece nad słabymi, a gromadzeniu wszystkich przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; w nich to jest godło jedności i braterstwa, lecz u nich oparte na prawdziwej miłości, tej jedynej podstawie trwałej przyszłości.

Opisać tu zamierzam zdarzenie, które na własne oczy widziałem. Wróbel, nie mający wygodnego gniazda, wie doskonale, że lepianka oknówki, bo tam z ciekawości nieraz zazierał, to sucha i wygodna chata, z obszernem pomieszczeniem, tylko ma otwór za mały i posłanie trochę twarde. Lecz, że on majster i pracowity, jak chodzi o własne wygody, łatwo temu zaradzi: wchód rozprzeźrzeni i nanosi pierza, a wróblica będzie miała gdzie i na czem spoczywać, więc natychmiast do zdobyczy przystępuje. A że jaskółka to bezbronna ptaszyna, czuła i delikatna; nie ma żółci, a nie zna gniewu: więc łatwo gburowatemu wróblowi wypędzić oknówkę, lecz nie łatwo zdobytą lepiankę zachować. W rodzie bowiem jaskółczym, jak to już przy opisie dymówki wspomniałem, jest tak silny węzeł zgody i wzajemnej pomocy, taka solidarność między wszystkimi ptakami tego gatunku, że nie tylko jaskółki jednego dworu, osiedla, wsi powołują się do wzajemnej obrony lub na

obfity żer, ostrzegają się rodaczki o niebezpieczeństwie, lecz na zawołanie jednej nawet nieznanym z oddalonych miejsc przylatują jaskółki i jak żołnierze jednej armii stawają posłuszne pod rozkazami tej, która potrzebuje pomocy i woła o nią. Gdy wróbel z pomocą wróblicy wypędzi oknówkę, wyrzuci jajka i pisklęta, wtedy z własności wyzute ptaszki lecą głosić ogrom swego nieszczęścia. Towarzyszki niebawem zbierają się; każda trzepocząc skrzydłami, staje przy zrabowaniu gnieździe, do środka zajrzy, a zobaczywszy rozgospieczoną wróblicę, zgrozą przejęta, piszcząc żałośnie, odlatuje i dalej popelnioną zbrodnię głosi.

Niektóre jaskółki latają w bliskości sceny tego dramatu, inne poleciały do sąsiednich wsi szukać pomocy i tam zebrawszy sukurs, wracają, kołują wszystkie w powietrzu, szczebiocąc ustawicznie; wszystkie się rozumieją, bo to jeden język. Nareszcie za danym znakiem gromada mścicieli znika z oczów: miejscowe jaskółki prowadzą wszystkie do obranej kałuży, z której czerpały materiał do lepienia gniazda; tam się spuszczaają i zasiadają, każda bierze w dzióbek bryłeczkę błota, rozwilży dobrze gumową śliną, której nigdy nie zabraknie, i leci ku zabranemu gniazdu, trzepoce się chwileczkę i bryłkę przylepi. Tak jedna za drugą, czasem dwie naraz przylepiają, setki jaskółek w mgnieniu oka otwór zalepią i wróblicy zamkną ucieczkę, a że ciepło i słońce świeci, a w materyale była wielka ilość lepkiej materyi, więc w jednej chwili błoto skamienieje i mimo silnych uderzeń dzióbem, w rozpaczę będącej wróblicy, o ściany, nic na śmierć skazana wskórać nie może, a chociażby konwulsyjnie w ostatnich przedśmiertnych wysileniach dziurę sobie wyłamała, toby nic nie pomogło, bo już

chmury oknówek nagromadziły się i każda z bryłką w dzióbku lata w bliskości gniazda, gotowa na nowo murować. Ta robota jest tak szybka, ilość jaskółek tak wielka, iż mam przekonanie, że w jednej chwili wymurowałyby łokieć ściany, a niema sekundy, żeby jednej lub dwu bryłek nie przylepiły. Gdy się wszystko uspokoiło i gniazdo trupa mieści, oknówki radośnie szczebiocąc, w powietrzu wirują, głosząc światu sprawiedliwą karę; jedyna to oznaka złego uczucia, jaką w tych ptakach zauważyłem.

Najczęściej jaskółki nie żądają tej zemsty i wróblom odstępują gniazda; lecz jak wróblica zbrodnię posunie do wyrzucenia jaj lub piskląt, wtedy sprawiedliwie rozjątrzeni rodzice srogą śmiercią karzą napastników. Zdarza się czasem, że w chwili gromadzenia się jaskółek samiec, przeczuwając nieszczęście, włązi do wróblicy w pomoc do obrony; lecz to nic nie pomoże, moje lube robotniczki tak się zwijają szybko, że więźniowie uwolnić się nie mogą i para z braku powietrza ginie.

Zapytacie pewnie, co za rolę wróbel w tym dramacie odgrywa? On, biedny zaiste, rzuca się w rozpacz, uderza na jaskółki, usiłuje odgonić, może sprawiedliwy gniew przebłagać, to znowu chce siadać na lepiance, słyszy skargi swej ulubionej wróblicy i silnym dzióbem kuje ściany, słucha i słuchałby długo tych ostatnich żałosnych tonów, żeby nie miryady jaskółek, które nie siłą, lecz liczbą go odganiają. Nareszcie widzi wróbel, że niema już ratunku: jaskółki odleciały, on usiadł na gnieździe zrabowanym, ucho do gliny przytula... głucho jak w grobie, wróblica już tchu nie ma — niestety, uduszona!

Ile razy byłem sam na sam z sędziwym naszym generałem Chłopiczkiem w Krakowie, zawsze do mnie w te słowa się odzywał: „*No, opowiedz co o twoich wróblach*“ (trzeba wiedzieć, że pod nazwę wróbla porządkował wszystkie ptaki).

Dnia jednego odpowiedziałem, że dzisiaj mu opowiem zdarzenia prawdziwego wróbla. Gdy skończyłem opowiadanie powyższej historii, on się zamyślił, a po chwili rzekł:

— Wiesz, mosanie, że to musi tak często bywać, bo przed wkroczeniem do Hiszpanii stałem z mojem wojskiem w małej pod Pyreneami wiosce, złożonej z murowanych domków — i krocie jaskółek dzieliły z nami garnizon. Razu jednego, gdy przed domem siedziałem na ulicy, widziałem pod dachem w domu naprzeciw mego, miryady kręcących się jaskółek i kilku żołnierzy gapiących się; zawołałem i zapytałem, co to takiego? Oni mi odpowiedzieli, że wróble wygoniły z gniazda jaskółki i że te ostatnie usiłują wróble w gnieździe zalepić. Wstałem i poszedłem, bo temu wiary dać nie mogłem; i na moje oczy widziałem to, co mi opowiadałeś — i mosanie, wróble parę w gnieździe zamurowały te małe ptaszki.

— I cóż generał zrobił?

— Co zrobiłem? Oto pomyślałem sobie, że wróble to rozumne ptaki, rozumniejsze od wielu ludzi, bo z głodu nie umierają i rozumem wyszukują sobie mieszkanie; kazałem rozbić gniazdo i wypuściłem wróble, więzione i na śmierć skazane; i wiem, że te ptaki już drugi raz nie rabowały jaskółek, bo koło nich dyable krucha było.

— Jakże generał mógł bezprawia przeciw niewinności bronić? przecie te wróble były napastnikami po prostu, a jaskółki swej własności broniły?

— Co ty mówisz o prawie i o napadach! gdzie nam wtedy w głowie było prawo lub własność: siła i rozum to były podstawy Napoleońskiej Europy! Ale powiedzno mi, jak ten wróbel odkrył, że tam w tem gnieździe ciepłe i wygodne mieszkanie?

Skreśliłem generałowi, o ile mogłem na przódce, charakterystykę wróbla, dodając, że wróbel zna dokładnie jaskółcze lepianki, gdyż w zimie często bywa mroźno, a nie wszystkie nasze pasibrzuchy mogą się chronić po ciepłych strychach, kominach, pod dachami kurnych chałup i t. d. Wiele jest przebiegłych wróbli, które zaraz po odlocie jaskółek, widząc te doskonałe lepianki opuszczone i jak dla nich stworzone, wyczyszczają je, nanoszą siana i pierza i tam nocują i często nawet w dzień wchodzą do tego gniazda, aby się ogrzać po zaspokojeniu głodu; na wiosnę zaś, kiedy do nas jaskółki przylatują, już ciepło wróblowi, wszędzie dobrze, więc zimowe swe mieszkanie chętnie odstępuje prawym właścicielom, pewny, że one zawczasu odlecą, a on znowu wygodną zimowłę mieć będzie.

— No, widzisz, mosanie, jaki to rozumny ptak! i teraz mam przekonanie, że dobrze zrobiłem, uwalniając wróbla od śmierci okropnej; sam widzisz, że on rozumniejszy, niż wiele ludzi na tym świecie.

Po tej rozmowie poszedłem do domu i wpisałem ją do mych notatek, pewny, że niejednemu miła będzie ta powiastka z ust poważnych i niejeden czytelnik z przyjemnością przeczyta te słowa; gdyż to zaiste było ciekawem zdarzeniem, żeby wojak, oddychający tylko sławą,

żyjący niemal na polu bitwy, mający ciągle śmierć przed oczyma, miał sposobność natrafienia na ten ptasi dramat, a myśl dosyć wolną, aby badać cały przebieg tego zdarzenia; dla mnie zaś to opowiadanie generała pozostanie jedną z najmilszych pamiątek w mem życiu *).

Mimo, że życie i zwyczaje w tych dwóch gatunkach jaskółek dymówek i oknówek zupełnie są podobne; mimo, że obydwie gatunki wkoło nas latają i w naszych budynkach zamieszkują: jedne jaskółki od drugich stronią i jak partye polityczne zawsze w osobnym obozie żyją.

Oknówki krótkimi, nieco włochatymi nożętami (prawdziwe *beznogi*) zbliżone są do jerzyków (*Cypselus*), żyją w powietrzu, żywią się w locie i siadają prawie tylko dla snu, lotem wysokim sięgają obłoków; są to stworzenia z pierzem połyskującym, tak jaskrawem, że gdy promień słońca uderzy cały na ten płaszcz, to różne kolory w naszych oczach się odbijają; dla tej przyczyny jaskółki wirujące pod blaskiem słońca wzrok nasz magnetycznie przyciągają: każdy zwrot inny kolor nam ukazuje. W cieniu płaszcz prawie czarny; opromieniony, to szafirem świeci, to znowu rdzawo-zielonawy kolor pokazuje, tu i ówdzie zobaczymy fioletowy. Ze-

*) Wielu ornitologów przeczy tym wprawdzie rzadkim, lecz pewnie zdarzającym się wypadkom, opierając przeczenie na tem twierdzeniu, że wróbel nie czekałby w gnieździe zamurowania. Ja zaś utrzymuję, że czekać musi: raz, że otwór malutki i wróbel głęboko siedzi i z początku nie wie, co się w otworze dzieje; po drugie, że instynkt każdemu ptakowi w podobnych przypadkach nakazuje ciche przyczajenie się, co zawsze spostrzegamy; a narzeczcie miryady jaskółek w okamgnieniu zalepiają ciasny otwór. W podaniach gminnych, które prawie zawsze mają podstawę prawdy, mamy podobne dowody niemal we wszystkich krajach.

bierzmy te dziwne kolory, których określić ani farbami odmalować nie można, gdyż przy każdym najmniejszym świetle lub cieniu, przy każdym zwrocie tej lotnej ptaszyny migają kolory, jak w brylancie stojącym pod słonecznym promieniem; oko uchwyci i rozkoszuje się widokiem nieznanego koloru, a tu już inny się ukazuje, i tak dalej i dalej, a zawsze piękne, zawsze połyskujące te kolory, które Bóg stworzył, oku dozwolił podziwiać, lecz człowiekowi nie pozwolił naśladować — zebierzmy, mówię, w bystrej myśli bukiet z tych migających, błyszczących i połyskujących kolorów, a cudny on będzie; bo te kolory są Boskie, czasem ubiera niemi swą ulubioną przyrodę, błysnie niemi człowiekowi, lecz je zachowuje w tajemnicy dla siebie. O, wy wielcy malarze, podziwiani od współczesnych, pomnikami uczczeni przez potomność, a wszystkich zachwycający, czy wy farby wasze porównaliście z kolorami migającymi w przyrodzie? czyście wy próbowali naśladować połyski przepyszne skrzydeł motyli, piór ptaków? czy pędzel wasz mistrzowski skreślił kiedy podobieństwo nawet świecących skrzydełek robaczków, twardo-łusków i owadów? O pewnie nie, boby je odrzucił z niechęcią! Wy kolory oddawali; połysków, pełnych zmian i blasków, płótno, drzewo lub wyciągnięty papier przyjąć nie mogły; połysk i migający blask kolorów, te się trzymają tylko w pędzlu Stwórcy, jak kolor promieni słońca, które człowiek od początku sztuki malarskiej naśladować usiłuje: miesza kolor żółty, to znowu ognisty i pomarańczowy, miesza farby, дума głęboko, wzywa swoje i obce doświadczenie na pomoc, a słońce namalowane wprawdzie, lecz świecić ono nie będzie i świecić nie może. To, co promieniste, to Bóg człowiekowi tu i ówdzie ukaże, chwilowo wzrok rozkoszą

napełni; lecz gdy wzrok, w ten cud barwisty utopiony, zatrzymać obraz zamysła i mniema już zrozumiwały, że go ludziom pokaże, on, człowiek, jak i oni, mimo że mistrz-malarz: połysk się przemienia w połysk, blask w inny blask, światło się potęguje, to znowu gaśnie, aby świeżym ogniem zabłysnąć i coraz barwistsze, coraz świetlejsze kolory jedne za drugimi gonią, jak te drobne isierki gasnącego papieru, wodzą za sobą oko, jak po barwistym labiryncie; rozum chce ścigać za wzrokiem, lecz on za powolny i za tępy; w głowie się miesza, w oku się mieni, a głowa, zmęczona blaskiem i krociami zmian jaskrawych, chyli się ku ramieniu, a usta szepcą: ach, to cudowne! Tak zaiste, to cudowne, a co cudowne, tego człowiek naśladować nie mocen — i dobrze zrobiliście, wy mistrzowie, którzy nam w pamiętce przekazaliście, jak gdyby na płótnie żyjące, wszystkie męki i cierpienia ludzkości, rozkosze i radości, wyobraziliście najmniejsze odcienie wad i cnót człowieka, zgłębiliście tajniki serca i duszy do tego stopnia, że ten lub ów portret narzeka, jęczy, płacze i boleje, tamten znów raduje się i wesołością oświeca oblicze, ten otwiera usta i widz czeka, kiedy przemówi, kiedy się poskarży, kiedy znów o pomoc i uwolnienie pobłaga; w oczy umieliście wlać gniew, zazdrość, zawiść i zemstę, miłość i rozczulenie, a czoła napełniliście ogromem myśli; na twarzach naznaczyliście wiek każdy; na tem martwym płótnie wskrzesiliście życie, ugrupowaliście ludzi różnej płci i różnego wieku, w żywych obrazach przekazaliście nam historię świata, upadek człowieka i za nim niektórych narodów i przyczynę ich upadku; przekazaliście potęgowanie rozumu, parcie człowieka ku zaspokojeniu swych rzeczywistych i wymyślonych potrzeb, postęp

rozumu z uszczerbkiem uczuć serca; przekazaliście nareszcie człowieka, który mniema, że rozumem sięgnie niebios, mimo, że ciałem tak mocno przylepiony do błota ziemi. Wam więc dzięki, wierni historyografowie, za zostawione pamiątki, wywiązaliście się szczerze z przyjętego obowiązku; z waszą pomocą wyobrażamy sobie ludzkość z każdej epoki i w każdym ważniejszym zdarzeniu, wyście nawet, w zamiłowaniu waszej sztuki i przejęci pięknnością przyrody, starali się przelewać na płótno, miedź i drzewo, świat roślinny, świat nieskończenie małych żyjątek; jeszcze dziś patrzymy na te różnobarwne wieńce kwiatów, nad którymi uganiają motyle, szukając nektaru w ich kielichach, na gniazdeczko ptasząt, na walki zwierząt, a nareszcie na te grupy zamordowanej zwierzyny i innych żyjątek, które człowiek, jak lew w gniewie, bez potrzeby i celu zabija, zabija bez rachunku, jak krwi chciwe stworzenie; patrzymy na te wiernie oddane obrazy, są tam rzeczywiście trafne kolory, niekiedy nawet obrazek, z życia szczęśliwie pochwycony: — lecz co miało w przyrodzie połysk, tego oddać nie mogliście i żaden z was, wielcy malarze, płaszcza nawet jaskółki oknówki oddać nie był w stanie, jak żaden z was nie uchwyci migającego blasku kolorów, którym się ubarwia cała przyroda dla Stwórcy; żaden z was naśladować nie może tych zmian stokrotnie w jednej minucie powtarzanych, zmian połysków, a przez to zmian kolorów. A biada temu, któryby dufny w swój talent, zarozumiały w swój rozum, chciał utopić wzrok w tajemniczą a jaskrawą różnobarwność kolorów przyrody w celu ich naśladowania ręką swą; życie strawiłby on na dobieraniu kolorów, wzrok straciłby przed ustawicznym blaskiem; dusza jego, straciwszy swój polot,

zniechęcona, zatrulaby mu życie; płótno czekałoby w ostatnim dniu, jak czeka w pierwszym na przyjęcie obiecanego połysku, zdjętego z tajników przyrody.

Obydwa gatunki jaskółek stronią jedno od drugich i tylko w niebezpieczeństwie jakiembądź gromadzą się wszystkie, niosąc wzajemną pomoc. Jak już mówiłem, jaskółka to pół ptaka, pół owadu; nie tylko jako migające lotne stworzenie, lecz jako objętość: gdy bowiem oskubimy tę ptaszynę, cały jej korpus wydaje się ledwie wielkości dużego włoskiego orzecha; dla tej to przyczyny nie jest ona ponętną dla drapieżnych ptaków i drobnych zwierząt. Zdarza się przecie, że jastrząb, krogulec lub inny sokolik w wielkim głodzie i tą odrobiną apetyt zaspokoić pragnie, a w takim razie wybiera sobie pojedynczą ofiarę i tę nieochybnie złowi, gdyż w hurmy wirujących jaskółek nie śmie nigdy uderzyć. Czy przyczyny tego szukać mamy w tem liczmem wirującym kole, czy też w blasku migających i połyskujących kolorów, powiedzieć nie mogę, lecz pewny jestem, że łapie tylko z boku lub w tyle zostającą jaskółkę, a nigdy w środek ruchliwej gromady nie uderzy. Trzeba wiedzieć, iż szum, sprawiony lotem błyskawicznym sokoła lub jastrzębia, jest tak mocny, że gdy blisko ucha przeleci, ten szum w uszach zostaje, a lot tak bystry, że czuć można ustępywanie powietrza przed szyjącym ptakiem. Kilka razy tego uczucia sam doznawałem. Możecie sobie wystawić, mili czytelnicy, co za wrażenie podobny szum wywiera na jaskółkę, słabą, trwożliwą, delikatną i oprócz owadów nikomu nie szkodzącą ptaszynę. Często się też zdarza, że jaskółka w podobnych napadach rzucona jest do ziemi samą trwogą i przestach jej tak wielki, że mimo uderzenia bolesnego

o ziemię, leży martwa chwil kilka, jak po odebranej kontuzji.

Z początku pojąć nie mogłem, co to może znaczyć, że jedną złowił sokolik, a druga ku ziemi leci; dopiero później się przekonałem, że istotnie postrach, posunięty do najwyższej potęgi przy parciu powietrza, pochodzącego z szybkiego lotu drapieżnego ptaka, sprawia tę chwilową śmierć, gdyż chwilę później ptaszę oczka otwiera, główkę podnosi, skrzydełkami zatrzepoce, jak na próbę, czy wszystko do lotu jeszcze zdatne, i dalej rusza w swój powietrzny żywioł. Mógłby się kto zaśmiać z tak wielkiego braku odwagi, lecz jakże może słabe stworzenie być odważnem i opierać się siłą, której nie ma? jakże ma wojować bez broni? Jaskółki jasno dowodzą i niepospolitą naukę dają, że nawet w stanie niemocy, bez środków materialnych obrony, bez obcej pomocy, można się od nieprzyjaciół obronić; jaskółki jednością, wiarą jednych w drugie, niewyczerpaną gotowością w niesieniu pomocy, mimo, że słabe ptaszyny, wszystkie w niebezpieczeństwie na pierwsze hasło się gromadzą, ściśniętymi szeregami nieprzyjaciela przyjmują i, dopóki która od ogółu się nie oddali, dopóty bezpieczeństwo zapewnione; a zamurowanie wróbli, czy to podziwienia nie wzbudza, czy pigmejczycy nie rosna w olbrzymów? Ta ich jedność stanowi siłę i bezpieczeństwo, ona im zabezpiecza niepodległą przyszłość.

Nim zakończę opis jaskółek oknówek, muszę skreślić ich pożycie domowe, równie sprawy rodzinne, powierzyć wam charakterystykę ruchliwych towarzyszek naszego lata. Jak już mówiłem, juskółeczka jest to cicha, zgodna, miła i porządna ptaszyna, nader przykładna matka, gdyż prawie każda parka wysiaduje dwa razy

i wychowuje rocznie 10 do 12 jaskółcząt. Żyją jaskółki w czulej miłości, w przykładowej zgodzie, w poświęceniu dla dziatki; lecz to życie osłaniają tajemnicą: żyją dla siebie i rodzinnego kółka, a nie dla świata. A przecie szczęście domowe ciche, czulego i zgodnego pożycia, to anielski chleb, którym Bóg wybranych swoich karmi: mówię wybranych, bo mam to przekonanie, że źródło prawdziwego patryotyzmu, wielkiego poświęcenia, szczytnego wymazania tego nieszczęśliwego *ja* z życia swego, jest w kółku rodzinnem.

Zły i nieczuły ojciec i mąż kraju swego kochać nie może ani też w sercu jego zgąsztem dla prawdziwych uczuć, a rozgrzanem tylko chciwą ambycją, miłość ojczyzny i szczytne poświęcenie z zapomnieniem siebie samego, miejsca znaleźć nie może! Podstawą ludzkości jest rodzina; o ile w narodzie jest rodzin cnotliwych i bogobojnych, rodzin miłujących swe obowiązki i wypełniających je, o tyle ten naród ma silne podwaliny i żadna burza go nie powali; cnotliwa rodzina skraca cugle wszystkim namiętnościom i żądzom i daje społeczeństwu ludzi prawdziwego poświęcenia, którzy umięją pogodzić ofiary dla kraju z obowiązkami dla rodziny.

Że się jaskółki czule kochają, wnoszę z radości, w jakiej ustawicznie żyją, z dowodów wdzięcznej czułości, jakie nieprzerwanie spostrzegam przy gnieździe. Gdy lepienka ukończona, siedzą tam razem; potem wylatują za żerem, wesoło świergotając. Gdy ona wysiaduje jajka, on od rana do nocy donosi owady, śpiewa jej dumki, zaziera przez otwór; ona wychyla główkę, dziękując; wychowują dzieci w zgodzie i jedności, a usamowolnwszy dziatwę, znowu żyją razem, kryjąc się przed okiem obcych.

Jakież pióro zdoła opisać ruch, panujący w kolonii gnieźdzących się jaskółek? kto tego życia nie widział, wyobrazić go sobie nie może. Co żyje, pracuje od rana do nocy i pewnie żadna budowa w naszej Europie nie ma w stosunku tylu tak pracowitych i skrzętnych robotniczek, co gniazda jaskółek. Tu przyklepiona do lepianki jaskółka kończy już chałupkę, głaszcze dzióbkiem otwór, aby kształtnie wypadł; — tam inne młode z bryłkami świeżego błota w dzióbkach biedują niepospolicie nad fundamentem gniazda, który nie wiedzą jak założyć; — z innego gniazda już ukończonego wyłazi samiczka zwalana i obłocona, bo tam w środku wylepiła ściany i gładziła: zaświergotała rozkosznie na znak, że już dzieło jej ukończone i usiada na gzymisie lub dachu muskać pierze dzióbkiem, bo ptak zdrowy żadnej nieczystości na sobie znieść nie może; muska więc i czyści, aby się tylko przedstawić w całej swej kształtnej i wdzięcznej postaci; co można było wybrać kurzu i bryłeczek, to wybrała, a resztę trzeba zostawić rosie i wodzie, a szczególnie wilgoci, która w powietrzu się znajduje, a w tem moja luba ptaszyna kąpie się dzień cały; śpieszy się samiczka, bo samiec nadlecieć może i zastanie nieporządek; zrywa się i leci świdrując powietrze; tu po drodze złapie muszkę, tam motylka lub komara; przy spotkaniu drugiej zawsze ją grzecznie pozdrowi, sąsiadka jej odpowie krótkim zaświstaniem, bo w porze lęgu ani jednej chwili stracić nie można; leci i leci dalej, coraz szybciej. Cóż to za pośpiech niepospolity? każdy zapyta; ale ona na nic nie zważa i pruje dalej powietrze.

Dalej widzimy szereg jaskółek lecających i powracających: jedne niosą już lepki materiał w dzióbku, drugie do kałuży śpieszą przy domu; kilka robotniczek,

przylepionych do gniazda, poprawia przyłożony materiał; — tu znowu widzę jaskółkę, której bryłka błota wypadła z dzióbka w chwili, gdy ją przylepić miała; rzuca się za nią ku ziemi, zręcznie chwytając w powietrzu, podnosi i z tryumfem leci ją przylepić na przeznaczonym miejscu; — innej spadła bryłeczka na ziemię; mniej rzutna jak jej towarzyszka, nie umiała jej na czas pochwycić, trzepece nad nią, nie śmie sięgnąć, bo z ziemi jej trudno znowu podlecieć, więc po chwili namysłu podnosi się i leci za świeżą gliną. Przy dalszych gniazdach widzę pojedyncze ptaki, które ku otworowi gniazda nadlatują, wesoło zaśpiewują na pozdrowienie samiczki i dalej gonią; — to znowu samczyki świergotające przed wejściem, jak gdyby wywoływały kogo ze środka; i tak jest istotnie: samiczka wychyla główkę, odbiera przyniesiony owad i niki w głębi lepianki; to są już gniazda, w których samiczki jajka wysiadują, a samczyki żywność nieustannie donoszą. I spotrzegamy w tym czasie tylko jaskółki płci męskiej, które bez przerwy gonią za lotnymi owadami, na prędcę część pożerają w powietrzu, resztę wdzięcznie śpiewając, wybranym w dzióbek kładą. Ten spokój, ta cisza trwa 14 do 20 dni, czas trwania lęgu; po tym czasie wzmaga się liczba jaskółek, jak gdyby się były pomnożyły, a to pochodzi z tego, że samiczki, mając już wyklute pisklęta, latają dzień cały, aby nienasyconych pasibrzuchów nakarmić, które to poświęcenie uwieńczone niepospolitym skutkiem, bo małe tłuste są jak kluski i rzecz szczególna a udowodniona, że pisklę w gnieździe więcej waży, niż doskonała jaskółka z pierzem i skrzydłami. Pisklę tłuste, że się ledwie ruszać może, a ustawicznie zgłodniałe, piszczy o jadło; otwór zapełniony 4^{ma} lub 5^{ma} główkami młodych jaskół-

czął; ten ruchliwy bukiet jak najdziwniejsze sprawia wrażenie: wszystkie kładą dzióbki na krawędzi gniazda, te dzióbki są jeszcze otoczone żółtą oblamką, piszcząc zaś, otwierają paszczę i ukazują różowy kolor, istne ruchome żółto-różowe kwiateczki. Co tam pisku i hałasu, co szturchania i spychania, nim się pasibrzuchy tak wygodnie umieszczą, aby przylatujące ptaki szybko im owad w dziób wsadzić mogły! Od wschodu słońca do zachodu z wyciągniętymi szyjami patrzą chciwie za uganiającymi rodzicami; ci co kilka minut przylatują i karmią za każdym razem jedno i tak kolejno wszystkie, nigdy się nie myląc, obdzielają, a mimo tego porządku, za każdym przybyciem wszystkie paszczę otwierają; — ku południowi żarłoki nasyceni i położywszy dzióbki na krawędzi lepianki, drzemią czas krótki, potem znowu jeść wołają. Z tego powodu, że piskłęta są nienasyconymi pasibrzuchami, zdarza się nie w jednym roku, iż przy nastaniu zimnej słoty, w którymto czasie owady się kryją, ani pół dnia postu wytrzymać nie mogą i w lepiance cała drobna rodzina z głodu i zimna ginie. O! wtedy rodzice w rozpaczę uganiają po powietrzu, zaglądną do otworu i, gdy się przekonają, że tam bez nadziei śmierć rozpostarła swe czarne skrzydła, opuszczają tę lepiankę i daleko od niej drugą lepią, to zaś mieszkanie jak zarazą zatrute pustką stoi, dopóki czas pomалу budowy nie zdezoluje; nawet nasz wróbel stroni od tego schronienia, pełnego wspomnień głodowej śmierci.

Znowu po upływie 14 do 20 dni nowe życie się objawia: pasibrzuchy wykształcone, pierzem zupełnie okryte, siedzą spokojnie i o wylocie ani myśleć nie chcą; rodzice je głodem do niepodległej wolności przymuszają, kusząc je zręcznie owadami złowionymi, a trzy-

manymi w dzióbkach przed otworem gniazda. Stało się nareszcie: cała rodzina buja po powietrzu i piskłeta, które chwil kilka jak niedołęgi w gnieździe siedziały, przy pierwszym ruszeniu skrzydłami już są doskonałymi latawcami!

Zaiste, z pokorą wypada podziwiać głęboką doskonałość w całej przyrodzie: ta jaskółka n. p., ledwie się pierzem okryła, już bez żadnej wprawy i nauki hula jak stara; kaczką, mchem okryta, jeszcze mokra wilgocią jajka, toczy się do wody i pływając goni za matką; a rybka z ikry wyślizgnięta, ledwie linię długości mająca, świdruje po wodzie, nie zna rodziców i nie potrzebuje ich pomocy, sama się żywi, od przyjscia na świat aż do śmierci. Gdy te żyjątka przyrody porównamy z ich panem — z człowiekiem, jakże ten król natury i stworzeń wszystkich niedołącznym nam się wydaje! ileż on czasu przeżyje w postaci pełzającego się ślimaka! ile miesięcy, nim zacznie jak robak czołgać się po ziemi, kwili, piszczy, narzeka i mazgai, prosząc o pomoc i opiekę, bo nie czuje żadnej siły i władzy! co trosk i niepokojów sprowadza, nim żyć zacznie o swej własnej mocy i przestanie żyć życiem wegetującym! Powiedzą mi na to, że wykształca się powoli jak dąb i jak to olbrzymie drzewo w potężnej sile przeżyje kilka dziesiątek lat. A któż może zaprzeczyć wieku łabędzi, kruków i papug, które setnych lat dożywają, orłów, sępów i innych drapieżnych ptaków, równie jak człowiek doczekujących się sędziwej starości? Czy siła wyrosłego człowieka jest zastosowaną do powolnego jego wykształcenia? Pewnie nie! Czy siła człowieka fizyczna może być porównana z siłą zwierza? Równie nie! Zwierzę jest w swej sile olbrzymem, człowiek

pigmejczykiem, który pomału się wykształca, jak gdyby wieki miał przeżyć, a tu każde mocniejsze uczucie, każdy grom niebios, uderzający na serce jego, każda choroba mimo wysileni ludzkiego rozumu na wyszukanie rątku w sztuce lekarskiej — goni go do grobu. Wykształcenie tak wolne fizyczności w człowieku, uczy nas głębokiej pokory, uznania naszej niemocy; przy łasce Bożej silny jest człowiek rozumem, nikiemni ciałem w porównaniu ze stworzeniami bez duszy.

Ile razy poznałem, że samiczka kaczek, chruścieli, kurek wodnych, cietrzewi i t. d. zlatuje od małych piskląt, zawsze starałem się odkryć małe, już to dla przekonania się o ich kształcie, już o ich stosunku do matki, lub o stanie ich ubarwienia — i zawsze przekonałem się, że każde z nich pojedynczo, jak i wszystkie razem, pojmują głos ostrzeżenia matki; bo dziwnym instynktem prowadzone, umieją takie kryjówki wynaleść, że oko ludzkie ich nie spostrzeże, ba! więcej nawet powiem, i wyżeł nie zwietry. Kaczuszki, mehem jeszcze obrosłe, zanurzają się instynktowo tak głęboko w wodę, że tylko dzióbek po nozdrza na powierzchni pozostawiają, a przeczuwając i tam prześladowanie, chyłkiem się z wody wynoszą i zapychają się między korzenie lub w szuwały i rzeczywiście znikają; jeżeli i tam nie czują bezpieczeństwa, wyłażą na stały ląd i szukają schronienia w oddaleniu znacznem. Pisklęta kurek i chruścieli, bekasów i innych szczudłatych ptaków, jeszcze ciemno omszone, już się umieją tak chować, że niepodobienstwo je odkryć. Zawzięcie prześladowując pisklęta wszystkich dla mnie przystępnych gatunków, aby zbadać ich naturę, zgłębić to zadziwiające

porozumienie matki z dziećmi, widziałem podziwienia godne zdarzenia. I tak n. p. odkryłem młode na bagnie igrające pisklęta lub też za matką szukające pożywienia: w jednej chwili niktą mi z oczów i godziny całe trawiłem na ich odszukaniu, często nie otrzymawszy żadnego skutku; lub też jedno i drugie odkryłem wtłoczone do kępinki, w dziurze myszy lub szczura, lub też siedzące odkryte, lecz w tak zastosowanym kształcie ciała do miejsca, a tak nieruchomie, że od bryłki błota rozpoznać go nie można było. Ostrzeżone o niebezpieczeństwie ptaszęta, jak skamieniałe siedzieć będą godziny całe, dopóki matka nie zawoła lub głód ich nareszcie nie przymusi do ruchu. Cietrzewie na czystej łące przed oczami giną i tak głęboko pod mech, w dziury, w trawy i pod krzaki się zapychają, że pies nawet wiatru nie ma żadnego; i sam widziałem, jak kilkanaście razy przez tosamą pisklę przeskakiwał, nie zwietrywszy go.

W tych badaniach są zaiste rozkoszne chwile, pobudzające do głębokich marzeń. I tak w czasie lęgu na pewnej przestrzeni, po ostrzeżeniu przez samiczki daniem, cisza panuje, jak gdyby żadnego ptaszka tam nie było. Gdy badacz potrafi tak swą osobę ukryć, iż oszuka samiczki, nic pociesniejszego, jak zobaczyć, że na jeden głos, na jedno piśnięcie, ożywia się to miejsce, pierwiej bez życia zostające; wszystko się rusza i biega, piszczy i kwili — i znowu na znak dany w okamgnieniu przestrzeń cała jak wymieciona, a chociaż ten łączący drobiazg zmienił miejsce, przebiegłszy w inne, on i tam znajdzie doskonale kryjówki. To ostrzeżenie wzajemne widzimy i w wykształconych zupełnie już ptakach; wszędzie są pomocne ptaki, które drugich ostrzegają: na wodach rybitwy i niektóre gatunki kaczek, na bagnach

czajki i kuliki, między śpiewakami dobroczynne jaskółki i ciekawe a mądre sikory. Jedno przeraźliwe świsnięcie, lot szybszy niż zwykle, jakby szukający schronienia, zagęganie mocne, świergotanie przyśpieszone, czasem znowu jedna nuta wydana, lecz nienaturalnym, przeraźliwym głosem, to są telegrafy, których znaki doskonale rozumieją ptaki. Zdarza się, że znak popłochu dany a niezrozumiany, więc go z naciskiem powtarzają; lub też niektóre zarozumiałe ptaki nie chcą wierzyć i zapytują, czy istotnie uciekać trzeba; wtedy w przelocie ostrzegający śpiesznie powtarza i dalej leci uratować ofiary lekkomyślne. Przed nadchodzącą burzą słyszymy wszędzie te uszom naszym prawie nieznanne tony, widzimy przyśpieszone loty i ruchy obce naszym ptakom. Na bagnie i wśród wielkich wód jest to uroczysta chwila, gdy fletowymi tonami kuliki ostrzegają współmieszkańców; z innych ptaków na oko ciężkie, a tak bystrym lotem obdarzone mewy, z rozpostartymi skrzydłami, jak białe cienie stają w powietrzu, to znowu ruszą ku prądowi powietrza, stają znowu i, jak żartując z fal i burzy, szyją przeciw wiatrowi, lekkie jak motyle, kołyszają się chwilę i znowu, podobne do kształtnej łódki, dalej płyną po powietrzu. Wszystkie ptaki już myślą o schronieniu: te pojedynczo, tamte w skupionych hurmach zrywają się jedne lotem, drugie na nogach dopomagając skrzydłami, te z wody zrywają się śpiesznie, ostrzegając się wzajemnie i głosem się zachęcając do szybszego lotu, reszta znowu na wodzie wiosłuje pletwami, dążąc ku trzcinie — i nim Bóg zagra piorunami, a oświeci tę sztuczną ciemnicę błyskawicami, już wszystko schronione jak pod parasolami. Spostrzegamy jedynie tych mazgai, których wszędzie zanadto, którzy

na nic i nigdy czasu nie mają i nigdzie na czas nie przybywają. Ci mazgaje ptasiego rodu, niemal w każdym gatunku istniejący, z lamentem lecą, pewnie jak i nasi ludzie mazgaje, skarżąc się na niesprawiedliwość losu i na nieszczęście, które ich tak niezasłużenie na swe ciosy wybrało, a mimo powtarzanych nauk, mimo podobnych niebezpieczeństw, zawsze cisami, niczego się nie nauczą; nie spamiętają, zawsze i wszędzie przybywają za późno, mazgaje!

Lecz wróćmy się do kolonii naszych jaskółek; tam zaszły ciekawe zmiany. Na jednej linii kilkadziesiąt gniazd, jedno do drugiego tak podobne, że ich rozpoznać nie można, blisko razem lepione, bo to często dzieci przy rodzicach się osiedlają, już z przywiązania, już to dla opieki i korzystania z doświadczenia starych. Tyle tam wlatuje i wylatuje oknówek, że nikt nie jest w stanie ich porachować; żaden badacz nie może stanowczo powiedzieć, dlaczego tam ustawicznie zazierają, co tam za interesa mieć mogą, tak młode jak i stare. Ja z pewnością twierdzić nie śmiem, lecz się domyślam. Doskonałe oknówki, wychowawszy już dorosłe pisklęta, wiedzą, że się lubie dzieci same żywią i żadnej opieki nie potrzebują, a wiedzą, że w tej zimnej Polsce lato mija, jak bieżem trzasł, i podróż długa w jesieni nie przebaczy; trzeba jeszcze znieść jajka i wychować drugą rodzinę. Rodzice przemyślają więc nad tem, jak zrobić, aby dorosła dziatwa się nareszcie odczepiła, a dziatwa, umiławszy rodzinną lepiankę, przeczuwając coś złego, ustawicznie w kolebkę zaziera. Bywa też inny jeszcze powód tego niepokoju. Ku wieczorowi, po dniu pracy i znużenia, każdy śpieszy do domu na spoczynek; bywają i między oknówkami roztargnieni, którzy wchodzą

do obcego domu przez roztargnienie. Oknówki więc młode w tym rzędzie lepianek nie poznają swojej i pakują się do obcej; zły przykład niestety! zawsze ponętny, więc pcha się brat za siostrą, siostra za bratem i cała rodzina lokuje się w obcej chacie. Przylatują spóźnieni właściciele; dom zajęty. Hałas więc wielki; już rozgłoszczonym i ogrzanym przykro wyruszyć, bo noc chłodna nadchodzi, przybyszom równie pilno spocząć, świergoce i piszczy drużyna, nadlatują stare, napominają, jedna do gniazda wchodzi i wypędza, druga czeka, aby jeszcze połać i odgonić, nareszcie, radzi nieradzi roztargnieni muszą uciekać. A cóż to dopiero się dzieje, jak te niedelikatne oknówki wleczą do gniazda, gdzie kilka piskląt jeszcze się znajduje lub też samiczka na jajach spóźnionych siedzi; o, wtedy po ostrzeżeniu samca, samiczki lub sąsiadki, cała kolonia doświadczonych oknówek, przejęta zgrozą, leci karcić, wszystkie piszczą, wszystkie potępiają i nareszcie natrętów wypędzają, którzy po tym despekcie muszą nocować na dachu lub gzymsie. Taksamo się kończy stosunek z rodzicami, jak samiczka zniesie jaja; młodzież swawolna odgoniona nocuje z początku w bliskości gniazda; potem po drzewach, skupia się z drugimi rodzinami, z pod opieki wuzutemi. Tak rośnie gromada po kilkadziesiąt i kilkaset, a przekonawszy się, że ich rodzice innemi dziećmi zatrudnieni, wędrują ku południowi: i to są pierwsze podróżujące jaskółki, które stanowią przednią straż i mimo młodego wieku, mimo płochości przywiązanej do niego, nie zбочą ani na stopę z wytkniętej drogi — i tam, gdzie ciepło i gdzie powietrze obfituje w owady, czekają na przybycie w sierpniu lub wrześniu głównego korpusu. Do samej nocy gwar i hałas w takiej kolonii nie do

opisania; starszyzna, pełniąca obowiązki policyantów i żandarmów, ustawicznie lata, napomina i karci, to znowu prosi i zaklina, jak konstable angielskie; to nagania dokuczliwie, jak nieucywiliżowana policya; nareszcie, gdy płaszcz swój ciemny noc rozpostarła, a firmament zapalił miliardy świeczek promienistych, uspokoiły się jaskółczęta, spoczywając do ranka, który znowu wezwie do pracy i ruchu.

Kiedy rolnik Boże dary sierpem i kosą na ziemię powali, śpieszy się, aby schować bezpiecznie owoc swej pracy, a pług wyjeżdża znowu przewracać rolę i ręka znowu rzuca ziarno na przyszłość; kiedy człowiek przy swej pracy i zajęciu chwilowo zapomina, że przyroda powoli już żalobę przywdziewa i kwiatek po kwiatku, listek po listku zrzuca z siebie, zrzuca te barwiste ozdoby, których dosyć podziwiać nie możemy; kiedy mgła niemal co dzień rano zasłonę spuszcza na przyrodę: wtedy gromadzą się jaskółki, pokrażą, pobujają na pożegnanie, zaświergotają, jak która umie, śpiew zachęcający do podróży i odlecą na długo. My spuszczaemy wzrok ku ziemi, bo na widnokrzęgu już nas nie bawią lube wirujące cienie i w pracy szukamy pociechy, w pracy koło matki ziemi staramy się zapewnić przyszłość, w pracy wdzięcznej i zajmującej znajdujemy siłę i wytrwałość do pełnego tęsknoty oczekiwania wiosny!

Jak dymówki, lecą i oknówki ku Węgrom i Włochom, kąpią się w Dunaju, Bohu, Dnieprze i Tybrze, później lecą odwiedzić kolebkę sztuki i wiedzy; po ruinach głazowych dawnej potęgi zbierają muszki i owady, swiergocąc nad grobami wielkich mężów i wojowników; ku zimie opuszczają Europę i dążą przez morze do Azji i Afryki, dalej i dalej zmierzają ku cieplikowi koniecznie

potrzebnemu do łatwego wypierzenia i tak niemal w ciągłej podróży schodzi zima i znowu powrót rozpocząć wypada. Kilku autorów, a między innymi Buffon, podają, iż w roku 1779. mieszczanin z Bazylei uwiązał na cienkim druciku blaszkę z napisem:

Hirondelle
Qui est si belle,
Dis moi, l'hiver, où vas tu? *).

Powracająca jaskółka miała na odwrotnej stronie blaszki napis:

à Athènes
Chez Antoine,
Pourquoi t'en informes tu? **)

W lecie czyli na wiosnę lecą ku wysokiej północy. Podróżujący badacze przyrody widywali je w Szwecyi i Norwegii północnej, nawet w Laponii, lecz tam jedną rodzinę tylko wywodzą i śpieszą, aby uciec przed mroźną, tak wczesną jesienią. Twierdzą autorowie, lecz to badacze książkowi, gabinetowi, co skrócić usiłują przyrodę całą do rozmiarów łatwo okiem zmierzonych, co naukę zamknęli w długości i szerokości części ptaka i podług tych rozmiarów i proporcij oznaczają rodzaje i gatunki, ciesząc się tymi wynalazkami, jak dzieci popsutą zabawką, a gawiedź płytka poklaskuje bystrości badawczego rozumu — ci badacze twierdzą więc, że jaskółki nie mają instynktu, i twierdzenie popierają tym

*) Jaskółko tak piękna, powiedz mi, gdzie na zimę lecisz?

***) Do Aten, do Antoniego, dlaczego mnie o to pytasz?

aksyomatem: »gdyby miały instynkt, nie narażałyby się w przybyciu wiosennem na śmierć, pochodzącą z zimna lub głodu, nie narażałyby się na burze i przeciwny wiatry, nie narażałyby nareszcie piskląt na zagładę«. A cóż wy myślicie, że świat żyjątek i świat stworzeń, nie wyjmując króla przyrody, może zawsze chcieć i nie chcieć, może zawsze podług upodobania i woli omijać niebezpieczeństwa, urągać śmierci, zabezpieczać instynktem i rozumem przyszłość? O nie, są prawa, które pędzą naprzód i hamulec nic nie pomoże, nie zawsze instynkt i rozum może ominąć niebezpieczeństwo, nikt nie wie i wiedzieć nie może, jaka śmierć go czeka. Posłuszeństwo, oto łańcuch otaczający świat cały, biada temu, kto się wywinąć chce z tych Boskich kajdan; biada temu, który poznać nie chce celu i użyteczności tych niewidzialnych ogniwi; na posłuszeństwie stoi cała natura — i tej dobroczynnej chorągwi, pod którą garną się wsze stworzenia, odbiega tylko człowiek, ten pan przyrody; zuchwalec, dufny w swój rozum, oparty na woli, szamoce się i rwie błogosławione łańcuchy, ucieka, a błędzi; narzeka, a słuchać nie umie; chciałby powrócić, a stracił kierunek; w rozpaczę pyta, co uczynić wypadnie. Zapomniał, że każdy musi czynić, co powinien, a niech się dzieje wola Boża nad wszystkimi i wszystkim!

Jaskółka przeczuwa, że będzie głód i zimno, że przyjdzie stracić dzieci; smutnieje, żałownie lecz nie zuchwale piszczy i narzeka, lecz się poddaje pod wyroki. W Afryce i Azji już przeczuwać musi zło, co na nią czeka, bo obdarzona instynktem, jak wszystkie lotne żyjątka, pamiętna tych naszych zimnych i słotnych wiosen, a leci, bo lecieć musi: tak prawa odwieczne

nakazały i z pod nich wyłamać się nikt nie może. Z drugiej zaś strony rażący kolor czarnego nieszczęścia znika pomału przed rozkoszną pamięcią chwil milej przeszłości, serce przyspieszonym biciem popędza do podróży, krew szybciej obiega organizm: śpieszą się więc do ojczyzny ptaszyny, bo wiedzą, że w ich ojczyźnie dobrze; wiedzą, że Bóg miłosierny stawia w swem miłosierdziu pociechę przy nieszczęściu, lekarstwo przy truciźnie. Niemal wszyscy autorowie opisują gniazda kolonii oknówek na gołych skałach, na których corocznie lepią swe budyneczki. Ja tych kolonij w żadnym kraju nie spostrzegłem. Wprawdzie w mych wycieczkach w nasze urocze góry widywałem oknówki uganiające wysoko w górach, nawet nad szczytami tychże, lecz to tłómaczyłem zawsze pogonią za wznoszącymi się owadami i łatwością lotu naszych ptasząt; spostrzegając ich lepianki na kościołach i cerkwiach, na domach proboszczów i dziedziców, nareszcie na karczmach, bo innych murowanych budynków w tamtych stronach nie zauważałem, mimo wiedzy o tem twierdzeniu autorów, mimo usilnego szukania, lepianek oknówek na skałach nie znalazłem.

Dawniej tyle było murowanych gmachów i pamiątek w całości po szczytach naszego podgórze i nad rzekami, tyle miejsc dogodnych dla gniazd oknówek, lecz to się coraz więcej rozpada i niebawem pamiątki siły i wielkości, pamiątki sławy i panowania, pamiątki wielkich zasług i ofiar, runą ku nizinom lub też utopią się w rwących falach rzek — i tylko serca czyste przechowywać je będą, a usta dobroczynne z generacyi do generacyi przekazywać, aby ludzie nie zapomnieli, czem byli i czem być mogą w przyszłości. Czas, ten świdrujący robak, niedbałość, ten rak toczący człowieka,

lekkomyślność płocha, żyjąca z dnia na dzień, nie pozwalająca myśleć o obowiązkach dla jutra, a nareszcie ta bieda, niezmeńczona nigdy, ślęcząca nad nami, jak nienasycony wampir, dokonały zniszczenia. Drewno zgniło, robaki podziurawiły, wapno i cement śniegi i deszcze wypłukały, mróz rozparł kamienie, mury się rozpekły, runął jeden kamień, po nim drugi i tak dalej, aż się wyłom zrobił, podobny do wyłomu w murze fortecznym, z którym kule i bomby się pasowały, nareszcie runęła i ściana, został silniejszy filar tylko, a gruzy pamiątek toczyły się ku nizinie. Rozpadł się gmach, historia jego już ciemna, niebawem w legendę przechodzi. Człowiek, u stóp tego rozbicia mieszkający, często zbiera porozrzucane kamienie, świętokradzką ręką sięga wyżej, łamie resztę i kleci budynek lub gorzelnię! Potępiłby go każdy, któryby nie zajrzał głęboko pod zasłonę rodzinnego kółka, lecz tam czasem bieda dokucza już w drugiej generacji, tam nieszczęście gniecie ósmy lat dziesiątek; dziwić się nie może, pożałuje, popłacze, odwróci rozczulonym wyrazem ozdobioną twarz i nie ma siły potępić! Zwiedzałem ja wiele podobnych pamiątek po naszym kraju, niejedna przykuła mnie do siebie na chwile długie; szukałem ptasząt, które zawsze życia dowodzą, i nadybałem tylko sowy i puhacze, śmierć, pustki i zagładę! Im więcej rozpadać się więc będą te gmachy, tem mniej miejsca mieć będą oknówki do gnieźdzenia, być więc może, iż później zmuszone będą emigrować ku skałom i tam lepić gniazda; do dziśdnia nigdzie ich tam nie postrzeżałem.

I oknówkom zarzut czynią, że w pasiekach szkody robią; lecz to niedorzeczna potwarz! Jakżeby tym dzióbkiem, który ma ledwie dwie linie długości, mogła objąć

pszczolę? musiałaby ją brać w połowie ciała, jak tancerkę do tańca. O tem niedorzecznem twierdzeniu przekonali się i ci, którzy pracowali nad wynalezieniem zarzutów; mając czasem jaskółki w pokoju, puszczały im pszczoły, lecz dobroczynne ptaszęta na nie nawet uwagi nie zwracały; i dopiero, gdy głód je zmusił do szukania obcego pokarmu, szamotały się z pszczolami, nie mogąc ująć ich dzióbkiem ani też połknąć. Cóż wynikło? oto, że broniący się owad ukłuł w paszczę lub szyję ptaszynę, ona zesmutniała, napuchła, przeboleła dzień cały i z życiem się pożegnać musiała. Śmierć jej przekonała badacza, ale drugi pewnie znowu tesame doświadczenia rozpocznie, bo podaniu najczęściej ludzie nie wierzą i własnymi oczami, własnym kosztem chcą doświadczać. Doświadczenie jednego nie jest doświadczeniem dla drugiego, nawet w najbliższym stosunku! I tak: ojciec życie strawił, siły stargał na doświadczeniu, nauczające skutki przekazuje synowi, a ten dufny w swe siły, z wiarą w postęp, uśmiecha się zarozumiale i brnie tąsamą przepaścistą drogą, co brnął ojciec, dziwi się, a grzęźnie dalej, nie popatrzy nawet na spuściznę użyteczną po ojcu! I tak się dzieje niestety w nauce, że uczeń chce sam doświadczenia przechodzić, tesame, co nauczyciel przechodził; jest to brak ufności i zarozumiałość w swe własne siły. Gdzieżby była już w prawdziwym i pożytecznym postępie zabiegła ludzkość, gdyby umiała korzystać z doświadczenia poprzedników, gdyby wierzyła w prawdę przekazanych doświadczeń? lecz zdaje się, iż tak chce Opatrzność i zwątpienie kładzie za hamulec postępowi! Prawdę mówi francuskie przysłowie: że prawdziwe doświadczenie bywa to, które jest wynikiem przez całe życie popełnionych głupstw!

Inny zarzut: że oknówki, lepiąc gniazda, walają mur i nieczystość zaszczepiają. Zaiste, te foremne półkule nie szpecą domu, są prawie pod dachem przylepione, a gdybyśmy innej nieczystości po domach nie mieli, jak ta, którą nam jaskółki przynoszą, jeszczebyśmy za przykład ochędóstwa służyć mogli. Boli mnie zawsze, bo to trąci obczyzną, jak widzę okrutną ręką zrzucane lepianki naszych pożytecznych towarzyszek, które im bliżej nas się gnieźdzą, tem szybciej uwalniają nas od dokuczliwych owadów; po drugie, że pradziadowie nasi szanowali jaskółki i wierzyli, że im błogosławieństwo do domu przynoszą, jak bociany — i pewnie żaden nie byłby śmiały podnieść ręki na to dobroczynne żyjątko; a wieśniak nasz, który pamiątki tak sumiennie przechowuje i niczego się tak nie boi, jak nowości, szanuje jaskółki i opiekuje się nimi; wierzy, że mu błogosławieństwo do chaty przynoszą. To nie zabobon, to nie śmieszny przesąd, bo w Słowiańszczyźnie zawsze jaskółki szanowano; i my je szanować musimy, już to jako pamiątkę przekazaną, już to aby nie razić sąsiada wieśniaka, który złem okiem spogląda na te postępowe zwyczaje, jak n. p. strzelać bociany, dla powiększenia stanu zwierzyny, a w imieniu czystości zrzucać gniazda jaskółek; już to z wdzięczności za zasługi, które nam ta ptaszyna oddaje, a nareszcie już dlatego, że kto z sercem i uczuciem dla piękności na nie pogląda, ten się często rozczuli, często utonie w zbawiennem marzeniu, a pewnie jaskółka rozwieje mu nieraz chmury, nagromadzone na jego czole. Wiem, że u nas jeszcze nie łowią i nie pożywają jaskółek, jak w południowej Francji, we Włoszech, w Sycylii i na Malcie, gdzie krociami w czasie odpoczynku przed zamorską podróżą

znoszą je na targi; ale my przecie z swawoli niejedną zabijamy, a swawola, okrutnie to każąca wada; często dla zabawki lub wprawy w strzelaniu młodzież pusta zrzuca z powietrza bujające pożyteczne ptaki — i to złe i szkodliwe przyzwyczajenie! Bóg stworzył pożyteczne stworzenia, a ludziom dał rozum, aby poznać ten pożytek; stworzył je najczęściej drobne i kształtne, a niesmaczne, aby je szanowano: dlaczegóż poniewierać mamy dobrodziejstwa, od Opatrzności nam dane? dlaczegóż i w tem ma być człowiek zaślepionym zuchwalcem i sobie szkodliwym.

Na tem kończę opis *Jaskółki oknówki* i, jeżeli was zabawiłem i zająłem, jeżeli która z myśli tu skreślonych utkwi w pamięci waszej, mili czytelnicy, i zachowa się na przyszłość, to mnie wynagrodźcie zaraz obietnicą, że wpływać będziecie na kółka was otaczające, aby jaskółki kochano i szanowano, jak je kochali poprzednicy nasi, we wszystkich słowiańskich narodach; a pewny jestem, że kto na te lube ptaszyny często badawczem okiem rzucać będzie, ten zajmie się niemi, pokocha je, pozwoli im kleić lepianki i słuchać będzie ich nucenia; a na końcu z zachowawczym naszym chłopkiem powiem: one, te dobroczynne ptaszyny, błogosławieństwo na wasze domy sprowadzą, a tego wam pewnie potrzeba.

Przyznać muszę niedogodność z liczego pobytu i rozgoszczenia się jaskółek oknówek i z tego wynikającej nieczystości, gdy nasze wiejskie domki licznie zamieszkały; lecz pożytek zdziałany przez te ptaszyny i dobroczynna miotła usunie te chwilowe nieprzyjemności, a dziesiątkowanie dokuczających much i komarów wynagrodzi sownie udzieloną ptaszynom gościnność, do tego jeszcze życie ruchliwe tej zajmującej istoty ubarwi

nam niejedną chwilę przez lato, przyciągając nasz wzrok badawczy na życie pracy, obowiązków i poświęcenia. Niszczenie więc gniazd uważam za szkodliwe i nam niewłaściwe. Każde żyjątko broni siebie i swej rodziny, według możliwości i gatunku udzielonej onemu broni — i to we wszystkich działach przyrody. Nasza oknówka z krótkimi nożętami, z drobnutkim dzióbkiem, nie posiada innej broni, jak swój szybki lot i przeraźliwy głos, istny lament, błagający o miłosierdzie; więc ile razy spostrzega swą rodzinę w niebezpieczeństwie, ugania, szeleści, okrąża, skrzydełkami dotyka nieprzyjaciela, a głosem błaga o pokój. Opisano mi ciekawe w tym kierunku zdarzenie: Na gzymsie wymurowanego, a niezamieszkałego jeszcze domu w ogrodzie, para oknówek ulepiła swą lepiankę i karmiła pisklęta. Dopóki samiczka siedziała na jajkach, nie broniły przystępu właścicielowi zwiedzającemu niemal codziennie postępującą budowę z ulubionem małym pieskiem; gdy zaś pisklęta opuściły skorupne więzienie, uznali rodzice niebezpieczeństwo najpierwej w piesku, a później i w człowieku. Przy zbliżeniu się pieska, obiedwie jaskółki nacierały na niego, piszcząc przeraźliwie, dotykając skrzydełkami w szybkim locie i tak go alarmowały, że skomląc, opuszczał swego pana i uciekał do domu. Ta walka nie do uwierzenia, powtarzała się kilkakrotnie, zakończona zupełnem pobiciem pieska, nie chcącego już wcale chodzić za swym panem, pomimo swej wierności i przywiązania. Właściciel, nie mogąc namówić nieodłącznego towarzysza do tej wycieczki, zmuszony został w samotności odbywać swą codzienną kontrolę i z niemałym zadziwieniem spostrzegł natarczywość troskliwych rodziców, skierowaną ku niemu. Latały, piszcząc koło jego głowy, trzepotały skrzydełkami,

dając mu do zrozumienia, że u nich to posiadanie jest własnością i że on do tej budowli nie ma prawa i przystępu. Nareszcie ta uzurpacya zniecierpliwiła dziedzica i kazał zrzucić gniazdo z pisklętami, nie pomnąc, że rodzice byli podziwienia godnymi i że drobne i lube ptaszyny nikomu nic złego wyrządzić nie zdołają, będąc jedynie wrogami dla much i komarów.

Jaskółka grzebiołka

(Brzegówka).

Pewnie mi czytelnicy przebaczą zmianę nazwy trzeciego gatunku jaskółki. Świat naukowy winien ją przyjąć, a może mi przykłaśnie za wskrzeszenie nazwy zapomnianej, a w całej Polsce dawniej używanej; i dziś jeszcze wieśniacy nazywają ją Grzebiołką lub Grzebieluchą i gdzie indziej Grzechołką. Ta ostatnia nazwa spowodowała niemało bałamuctwa w nomenklaturze, gdyż jedni stosowali ją do jerzyka, inni do kukułki i t. d. Nikt dziś z pewnością nie może oznaczyć, do którego ptaka należała dawna nazwa Grzechołki, a zatem dla uniknięcia nieporozumień nie powinna być używaną.

X. Krzysztof Kluk nazwał niemal wszystkie nasze ptaki po polsku, lecz że to był książkowy badacz i przyrody nie badał, a mając otwarte skarby po bibliotekach, czerpał w zagranicznych dziełach swe wiadomości, więc co uznał za korzystne, tłómaczył, nie zadając sobie wcale pracy do badania ojczystych autorów poprzednich, ani też nie zwracając swej uwagi ku wsiom i myśliwstwu krajowemu, aby poznać polskie nazwy; brał je, jak mówię, żywcem z obcych języków i dosłownie tłómaczył. On to wprowadził wiele nazw niepolskich i naszemu ludowi nieznanym, a że jego w większej części

przystępne dla ogółu dzieła dziwnie się rozpowszechniły po kraju, powstała stąd w nauce ta obczyzna, którą wytępićbym pragnął — i dla tej przyczyny o X. Kluku się rozpisuję. Na poparcie tego, co wyżej powiedziałem, przytoczę tu z łacińskiego dosłownie przełożone nazwy. O niektórych z tychże nikt dawniej nie słyszał, mimo, że te ptaki znane i nazwane w kraju były: *Biarmicus* — Błotniczka, *Caudatus* — Ogoniczek, *Peregrinus* — Cudzoziemka, *Riparia* — Brzegówka, *Tricolora* — Trzyfarbiczek i t. d. Jedne nazwy brał z łacińskiego, drugie z niemieckiego i tak pomału zacierają się w pamięci czysto polskie nazwy ptaków; o ile więc który z badaczy odkryje używane nazwy i przekona się, iż rzeczywiście od dawna są w pamięci ludu wiejskiego przechowane, winien te nazwy do nomenklatury polskiej podać, a wyprzeć z obcych języków przepolszczone.

Ufer-Schwalbe, Brzegówka, *Hirondelle de rivage*, *Hirundo riparia*, wszyscy autorowie wywodzą tę nazwę od brzegu, a że brzegi dają przypuszczenie koryta, pobyt jej umieszczają przy wodzie, bo brzeg zawsze myśl wody daje. Wprawdzie stara się nasza jaskółka o wysokie brzegi gliniaste lub piasczysto-gliniaste, stara się równie, aby zamieszkać w bliskości wody; lecz brzeg, jaśniej mówiąc, ściana ziemi jest dla niej kwestyą egzystencyi — bez tejże ściany gatunek wyginąłby. Szukają zatem ptaszyny w podgórzach urwiska gór z miękkim pokładem ziemi, opanowują ściany głębokich parowów, ściany gliniane sztucznie powstałe przy cegielniach, a nawet szerokie wąwozy dróg publicznych i tam grzebią jamki, w których znoszą jajka i wywodzą potomstwo, często w bardzo wielkiem oddaleniu od rzek, stawów i jezior. Kto zna szybkość lotu jaskółek, ich podziwienia

godną ruchliwość i nieustającą czynność, pewnie dziwić się nie będzie, że o milę czasem od brzegów wody, ściany zamieszkują. Grzebiołka, to nazwa dawna i dotąd używana, a tak doskonale oznaczająca życie tej jaskółki, jej całoroczny pobyt u nas, przepędzony na grzebaniu dziur w ścianach, które podobne są w otworze do dziur raków w brzegach. W jednej takiej ścianie jest czasem kilkaset takich dziurek, gdyż równie innym pokrewnionym gatunkom, żyje zawsze w licznych towarzystwach, które się młodszymi coraz więcej mnoży, dopóki miejsca wystarcza w ścianie do grzebania dziur; jak tego zabraknie, część młodzieży, na wygnañców skazana, broni się czas niejaki przy ojczystej ścianie, nareszcie zebrawszy się w stadko, złożone z kilkunastu par, leci szukać miejsca wygodnego do lęgowego umieszczenia.

Z trzech nam znajomych gatunków, grzebiołka najmniejsza, najdelikatniejsza i najpóźniej w porze lęgowej do nas przybywająca; ogółowi mało znana ta szara ruchliwa ptaszyna: jak ćma mignie przed okiem i już znikła z widnokregu; tu znowu nad brzegiem lub ścianą stromą widzimy wirujące i uganiające grzebiołki, lub też nad wodą odbywające wyścigi, to z pustoty i wesołości, to za żerem wysilające lot do uchwycenia owadu jedna przed drugą; gdy tak widz ściga okiem te cienie migające i w oczach mu się mgli, nie mogąc uchwycić każdego ruchu tej ptaszyny zawsze zręcznego, zawsze niepojęcie szybkiego i rozkosznie zachwycającego: w jednej chwili, jak czarodziejską różdżką wymiecione, z przed oczów jego znikają i chwil kilka żadna się nie pokaże; zaiste zadziwić się musi i zapytać: czy rzeczywiście widział te ptaszki, czyli też wyobraźnia wywołała mu przed oczy duszy te ruchliwe cienie; nawet

badacz z wiedzą, iż do kryjówek się chowają, czy to dla odpoczynku, czy niosąc pisklętom pożywienie, czy z trwogi przed niebezpieczeństwem, doścignąć nie może tego szybkiego znikania — i sam nieraz siedząc pod ścianą, pojąć nie mogłem, jak taka znaczna ilość, w te ciasne otwory, blisko jedne drugich będące, tak szybko wcisnąć się może. Na poparcie mego zdania, iż grzebiolki częstokroć w znacznem oddaleniu od wody kolonie gnieźdzące zakładają, opowiem, że w X. Poznańskim, w powiecie babimostskim, była gliniana ściana do 20 łokci wysoka, z której brano co roku wielką ilość gliny na cegłę, a wody znacznej, jako to stawów, jezior i rzek, na milę w okręgu nie było. Tę ścianę od lat wielu umiłowaty tak, że mimo co roku powiększającej się pracy przy gnieźdzeniu przez to, iż dla lepszej gliny majster zbierał zawsze powierzchnię, już przez zimowe wpływy polepszoną, one niewdzięcznej siedziby przez kilka lat mego badania nie opuszczały. Ta kolonia wiele mi postrzeżeń pozwoliła zrobić i, gdyby inni, podobnie jak ja, byli w położeniu podziwiania tej ustawicznej pracy i nam ludziom prawie nieznaney wytrwałości, pewnie byłiby z tego widoku skorzystali.

Aby dostatecznie podziwić i zrozumieć cały ogrom tej pracy, poznać trzeba drobne rozmiary tej na oko małej i słabej ptaszyny. Cała jej długość rzadko kiedy przenosi pięć cali, szerokość do 12 cali, dzióbek pięć linii długi, skok równie pięć linii wysoki, kciuk czyli tylny palec najkrótszy, a wszystkie palce delikatne, równie jak pazurki. Z temi to wątłemi siłami i słabemi narzędziami, grzebie przez lat kilka nory, co roku pogłębiane, które kilka stóp głębokości mają; wchód wąski, że ledwie ptaszyna wcisnąć się może, ma kilkanaście cali długości,

jak gdyby tą odległością od powietrza zewnętrznego chciały się zabezpieczyć od zimna i nieproszonych a niebezpiecznych gości; dopiero tam jak lisy, borsuki i bobaki wygrzebują sobie kociołki okrągłe do wygodnego gniazda. Pomoc wzajemna i solidarność wspólnej pracy jest i tu rozczulająca. I tak tym, które napotkały na twardszy pokład, inne pomagają; lub też gdy się zdarzy w kurytarzu do kopania kamyczek zawadzający, zaprzęgają się do niego jak najęci murzyni i po długich usiłowaniach, czasem cały dzień trwających, z tryumfem eksportują twardą zawadę; jest to rozkoszna chwila, oczywista nagroda pracy, gdy już bryłka ta na brzegu leży, zrzucają bryłkę nogami i towarzyszą jej trzepocąc skrzydełkami i szczebiocąc wesoło ku ziemi; robotniczekoło nory opuszczonej powirują nieco, świergocąc pozdrowiają się i każda do swej roboty leci, bo niema u nich ani chwili wypoczynku.

Przylatują do nas nieco później, niż poprzednie gatunki, wszakże kuryery awangardy spostrzegamy w końcu kwietnia lub na początku maja, kiedy jeszcze nader przykre powietrze panuje, a że te ruchliwe i malutkie ptaszęta tak szybko przez świat świdrują i co chwila w nory swe się chrania, bardzo trudno powiedzieć, czy te awangardy u nas zostają, czy do głównego korpusu z raportem śpieszą i czy na ich miejsce inne przybywają. Nieraz nad rzeczkami wschodniej Galicyi, któremi jest tak obficie poprzerynana, w czasie ciągu słońek, a zatem w połowie kwietnia, spostrzegałem te jaskółki po 5 do 7; umyślnie drugiego i trzeciego dnia czatowałem w tychsamyh miejscach i albo żadnej nie zobaczyłem, albo też większe lub mniejsze stadko od poprzedzającego latało, które mi jasno dowiodło, że to

inne grzebiołki nadleciały. Te zjawiające się na wiosnę ptaki są zajmujące w skrytem ich posłannictwie: jak one śpieszą, jak ich droga wytknięta, jakie jasne rozkazy dostawać muszą i jak je szybko i sumiennie wypełniają. Tu już słońce przygrzewa, owady z letargu zimowego się budzą, muszki hurmami nad wodą się kręcą, przecie to ponętne być musi dla grzebiołki; a one tylko tu i ówdzie jedną muszkę porwą dla zaspokojenia głodu i nabrania sił, a dalej i dalej śpieszą rozrukany lotem.

Gdy mi mignie ten cień i znowu zniknie, a wiosna rozbudziła w duszy poezję, uśpioną zimnem smutnej naszej zimy; — gdy odrodzony człowiek w swem rozczuleniu dla Stwórcy poetycznie dzieciennieje, uśmiecha się do pierwszych, z pod śniegu główki wychylających dzwoneczków białych z tym żółtym pyłkiem, które je tak zdobią: podziwia i zerwać nie śmie, bo to próbka kwiecistej przyrody, chciwie patrzy na pączki i pełnem sercem życzy rozwinięcia; — kiedy się raduje z widoku tych listków niskich krzewów, które to pod włoskami obrosłe, aby się od przymrozków chronić, i patrzy na szerokie liście dzikich fijołków i poziomek rozsiadających się po ziemi, dumnych, że matkę ziemię już przykrywają; — kiedy każdy huczący owad nasze oko ku sobie zwraca i wzrok goni za szczęśliwie przezimowanym motylem, który to, jak cytrynka z skrzydełkami, unosi się nad ziemią i uporczywie szuka miodowych kwiatków, bo go promienie słońca obudziły i łudzi się sztuczną wiosną: biedaczek nie znajdzie jeszcze pożywienia, lecz pobuja chwilę pod słońcem, zniesie jaja i wkrótce zginie, a przyroda tem zniesieniem sama się opiekować będzie i w maju wyda gąsienice, zamieni

w czerwcu w poczwarki, a w lipcu już wypuści tysiące tych po kwiatkach tak mile kołyszących się cytrynek; — kiedy głosy najpierwej nam przybywających śpiewaków, uderzą nasz słuch i podziwiamy to melodyjne przypomnienie przeszłorocznych wyuczonych śpiewek i dumek, a gromady ziarnojadów, jeszcze na pary niepodzielonych, obsiedą drzewa z liści obnażone i wspólny śpiew zanucą, śpiew złożony z setnych głosów współbiegających się: — o! wtedy każdy ptak, każdy robaczek, każdy owad jest książką zajmującą do czytania, wtedy to przychodzą myśli zastanawiania się nad organizacją całej olbrzymiej przyrody, nad tem życiem u każdego żyjątka innem, a taką ścisłą harmonię tworzącem; wtedy to ruch ptaka, zawsze z pewnem przeznaczeniem i celem wytkniętym, wodzi wzrok badacza za sobą magnetycznie i im więcej dążność ukrywa, tem więcej ciekawości wzbudza. Te pojawiające się i znowu znikające awangardy wielu gatunków mych lubych ptasząt, to pojedynczo, to jak gdyby rodzinami, to znowu hurmą ukazujące się, od wielu bardzo lat uwagę moją na siebie zwracały; różnią się one wielce od nadciągających ptaków, które mało kto w przylocie spostrzec może i tylko już rozgoszczone widzi: te awangardy nie żerują, nie szukają lęgowych miejsc, nie odpoczywają i wcale nie w jednym kierunku lecą, są zatem ciekawe do badania.

Mimo że w kwietniu tu i ówdzie grzebiółka się ukaże, główna armia w maju dopiero nadciąga; przelatując nad rodzinnymi okolicami, zostawia tam należące oddziały, a dalej leci do dosyć wysokiej północy. Grzebiółki pojawiają się najpierwej nad wodami i każda kolonia śpieszy do swej ściany; starsze wyszukują dawne nory, wyczyszczają i wymiatają lub też powiększają,

młodzież kłóci się o kryjówki niezamieszkałe, a wszystkim parkom niewystarczające. Dni ośm trwa zamieszanie, kłótnie i walki; po tygodniu jedne się ulokowały, inne sobie grzebią nory, a niektóre bywają wygonione dla braku miejsca. Jest to chwila zajmująca, gdy grzebiolki z całym zapalem, jaki wzbudza tryb lęgowy, przystępują do pracy i z jaką podziwienia godną wytrwałością skuteczniają w proporeyi wątych sił te olbrzymie dzieła. Aby czytelnika obznajomić z tą górniczą robotą, zacznę od pierwszej przygotowawczej pracy. Obleciawszy ścianę przeznaczoną do wykucia dziury, kilkanaście razy dokoła, siadają samiec z samiczką, tu i ówdzie dzióbkiem i nóżkami próbują ziemi i znów odlatują i kilka cali opodal siadają, odbywając dalsze próby, jak gdyby znały dokładnie naukę geologii i miernictwa; — o to bowiem chodzi, żeby natrafić na najmniejszy pokład, a grzebać tak prosto, aby się z norą tuż obok będącej towarzyszki nie spotkać, jej i sobie łoża nie popsuć; a trzeba wiedzieć, że w dogodnej, przez długie lato używanej ścianie nory tak blisko są nor, że gdy odświeżone są gniazda na wiosnę i wchody otwarte, to ściana wygląda jak sito i dziurka jest koło dziurki, każda zaś tak prosto kuta, że się w głębi nigdzie nie schodzą jedna z drugą, mimo że na końcu krążanku znajduje się obszerniejszy kociołek.

Nareszcie nasza parka, wybrawszy miejsce, wymierzywszy dokładnie kierunek, przylepia się do ściany i ruch żadnego spostrzec nie można — i gdyby nie bryłeczki sypiące się ustawicznie ku dołowi, niktby nie wiedział, że tam te dwa małe ptaszki rozpoczęły olbrzymie dzieło górnicze i niezmordowanie pracują godziny całe; po chwili dla odpoczynku jedna się zerwie, stanie

z rozpostartemi skrzydłami, zaszcebioce wesoło do swych towarzyszek i znowu rusza do pracy, druga sama dalej kuje i woła na współpracowniczkę; za pożywieniem jedna lub druga polecą, czasem obydwie się zerwą jak na umówiony znak i lecą lotem, któremu oko towarzyszyć nie może, uderzają natarczywie w koła wirujących muszek i zadają straszliwą klęskę owadom, lub też w bliskości wody szyją nad zwierciadłem, łowią skrzydlate żyjątka w locie i na powierzchni ziemi, a nawet nurkują, upatrzawszy pożywienie w wodzie, a to z pośpiechem nie do opisania i z tumsamym pośpiechem wracają do pracy, a tak wesołe i szczebioące, że aż miło na takie robotniczki spojrzeć. Po kilku godzinach, już wklęsłość tak znaczna, że połowa ptaka się w teźże ukrywa i wtedy jedna już tylko pracować może, druga zaś odpoczywa, żeruje i znowu w pracy pierwszą zastępuje. Przed wieczorem znaczna dziurka, bo na kilka cali w głąb wykuta. Słońce ma się ku zachodowi, towarzyszki starsze już w norach po całodziennej pracy odpoczywają, a młodsze, które dopiero mieszkanie wykuć sobie mają, niemal równie liczne jak tamte, latają przed ścianą, szukając bezpiecznego schronienia, długo wabienie ich badacz słyszeć może, *szerszer!* powtarzane szybko jak w niespokojności, aż nareszcie wszystko się uspokoi, znalazłszy stosowny nocleg. Mam to przekonanie, iż w czasie fabryki gościnność starszych i różnienniczek, które znalazły gotowe nory, jest tak wielka, że do swych siedzib gotowych przyjmują gości na noc i znoszą niewygodne umieszczenie — i opieram to na doświadczeniu, że żadna parka na dworze nie nocuje, ani też dalej nie odlatuje i piszczy pewnie, dopóki jej inne nie zaproszą.

Gdy ranek zawita, gromadka wylatuje, szuka skromnego pożywienia, bo w tej porze dnia rzadko owadów na świecie i wszystko staje do pracy. Nasza parka już się w głąb schowała i oboje już razem w krążanku kopią, jedna dzióbie i drapie, a nóżkami w tył odrzuca nakopaną ziemię, jak gdyby podawała drugiej, a ta znowu równie ogonem obrócona do otworu, nożętami taszcze bryłki, prochy i nareszcie nóżkami wierzgając, wyrzuca niepotrzebny materiał. Z początku budowy co chwila zoczyć można wystający ogonek cofającej się grzebiółki, później coraz rzadziej, bo im głębiej, tem trudniej wynosić ziemię, a ku końcowi ledwie co godzina uda się coś gliny wyrzucić; gdy dojdą robotniczki do wykucia kotła, tej ostatecznej pracy, już się obrócić mogą, gonią się kurytarzem, obracają w kociołku i znowu już dzióbkiem naprzód wylatują. Otóż ich dzieło ukończone, co głośnem szebiotaniem światu głoszą. Wziąwszy w rękę tę ptaszynę, pojąć nie można, że tym małym i słabym dzióbkiem, temi krótkimi nóżkami, ozdobionymi delikatnymi pazurkami, mogą wykuć w glinie lub piasku krążanek na kilkanaście cali i kociołek mający obszerności 6 do 8 cali, i to w kilka dni. Cóż dopiero powiedzieć o starszych mieszkaniach, które, jak to wiarogodni autorowie twierdzą, mają mieć do sześciu stóp głębokości; ja tego potwierdzić nie mogę z własnego doświadczenia, lecz skłonny jestem do uwierzenia, gdyż parka przez lat kilka tęsamą norę zamieszkująca i co roku powiększająca ją, może mieć kilka kotłów i długość 5 do 6 stóp. Dowodzi to, że jedność i wytrwałość w pracy przy szczerej chęci, mimo słabych narzędzi dokonać może prac podziwienia godnych.

Już więc fabryka skończona i można znosić jajka? Gdzież tam. Pani domu protestuje: ona elegantka i, chociaż młoda i niedoświadczona, chce pokazać, że się rozumie na urządzaniu domu, więc mimo nalegań małżonka, któryby już chętnie odpoczął i jest z mieszkania zupełnie zadowolonym, ona przez dni parę gładzi ściany, wchodzi i wychodzi, za sobą prowadząc samca, aby otwór i kurytarz były proporcjonalnie okrągłymi i wymiecionymi; — w tej skrzętnej pracy prochu w pierze nie mało się nasypie, więc idą do otworu, potrzepią skrzydłami, ruszą całym pierzem, pobujają chwilkę i znowu lecą gładzić ściany, aby się przed sąsiadkami nie powstydzić. Już wszystko gotowe, kociołek w kształcie pieca na chleb, na górze sklepiony, na dole okrągławy, tam znoszą suche trawki i korzonki, nieco włosia, a niekiedy wełny kawałki: z tych to materiałów składa się gniazdo nieforemnie ułożone, w które w pierwszej połowie czerwca znoszą 5 do 6 białych jaj z połyskiem, nader przezroczystą skorupą, przez którą żółtko widzieć można. Samiczka sama je wysiaduje, a samczyk jej pożywienie donosi; lecz jak zimne słoty nastają, wtedy i ona za żerem wylatuje kilka razy na dzień, nie spuszczaając się na samca, który ledwie siebie wyżywić zdoła, a spokojna o ciepłik dostateczny dla jaj w głębi ziemi ukrytych i na miękkiej poduszce zostawionych. Po dwóch tygodniach wykluwają się pisklęta i cała kolonia, na nowo ożywiona, od rana do nocy ugania za owadami i donosi dzieciom, które po dwóch tygodniach pierzem okryte, ku otworom gniazd się pchają; żarłocznością parte, nie słuchają rodziców, którzy im w kotle siedzieć nakazali. Miły to widok w lipcu tych wyzierających główek z nor i ożywiających smutne ściany, sprawia-

jące nam zawsze wrażenie opustoszenia i gniewu Bożego, który ziemię tu i ówdzie porozdzierał i na pamiątkę nam te rozpadliny pozostawił. Niebawem starsze wylatują, piskłeta idą za ich przykładem — i w kilku dniach z kilkudziesięciu jaskółek, namnożyło się ich tyle, że kilkaset wiruje przed ścianą dzień cały, a na noc spoczywa w kociołkach.

W czasie siedzenia na jajach samiczek, nie jeden koło kolonii przejdzie i nie spostrzeże gnieźdzących się grzebiołek: sameczyki cicho wlatują i wylatują, samiczki najczęściej wcale się nie pokazują, a tak twardo siedzą, że często hałas nawet ich wypłoszyć nie zdoła; gdy człowiek na wierzchu ściany stanie i mocno nogą uderza w ziemię, wtedy spłoszone wylatują, toczą koła pełne zadziwienia, a oswoiwszy się z stojącym napastnikiem, pomалу jedna za drugą siada przy otworze i jak mysz do środka włazi. Kurytarz jest tak wąski, że ręka ludzka, nawet chłopca się nie pomieści, a znowu tak długi, że palcami kociołka dostać nie można; aby zobaczyć architekturę budowaną przez grzebiołki, trzeba rozkopać powierzchnię, a przekonać się o głębokości łatwo, bo dziura zawsze prosta i kijem końca dotknąć można i wyciągnąć gniazdo, zakręciwszy rozłupany patyk. Zdarza się, iż parka wykuje na kilkanaście cali kurytarz, porzuci i znowu w innem miejscu kuje, co po dwakroć razy powtarza: zdaje mi się, że powodem tej podwojonej i potrojonej pracy bywa twardy pokład lub kamyczki za ciężkie do wyprowadzenia; i biedne robotniczki, którym już tak straszliwie pilno razem siedzieć w ciepłym kociołku, czasem tydzień cały ukończenie pracy spóźnić muszą. Bywa też, iż w ciepłej porze i przy trwałej pogodzie, gdy samiec siebie i żonkę z łatwością

wyżywi, a nie jest zagorzałym domatorem, czy z nudów, czy z przywyknięcia do pracy, czy w troskliwej myśli dla wygodnego umieszczenia na rok przyszyły swych dzieci, kuje sobie pomału kurytarz osobny i dochodzi przez czas siedzenia na jajach samiczki do kociołka, nie zapominając bynajmniej o obowiązkach. Nie czyni tego dla siebie, gdyż tam nigdy nie nocuje i nawet gdy są już lotne dzieci, wszystko mieści się razem w wygodnej dziurze: jest to więc poświęcenie lub też nawyknięcie podobne do tego, które nam codziennie biurokraci pensyonowani pokazują, idąc z całym przyborem do bióra i bez rozdrażnienia i zawstyżenia, przy drzwiach przypomniawszy sobie zmianę położenia, wracają do domu bez poprawy, drugiego dnia bowiem o tejsamej godzinie, tysamym krokiem wymierzonym, niby to śpieszą do dawnego biura. Patrząc na tę akuratność podziwienia godną, myślałby kto, że śpieszą do pracy i porównałby ich do grzebiolek pracowitości: straszliwieby moje ptaszyny skrzywdził na reputacyi, bo grzebiolka każda sumiennie pracowita i żadnego roku się nie opuszcza, nie potrzebuje reorganizacyi, będąc od stworzenia świata tak mądrze uorganizowaną, że jej całe życie podziwiać należy, czego o wszystkich urzędnikach zaiste powiedzieć nie można.

I tu bywają nieszczęścia, niespodziane ciosy, często nader przykre przeprawy w życiu: często brzeg się urwie i zawali otwory, ceglarz zbierze łokieć gliny ze ściany i skryte rodzin życie pokaże, innym znowu woda gniazda zatopi, często i starych jak w porcie obłączonym trzyma, przykre zimno na głód wystawi rodziców i dzieci — różne, przeróżne utrapienia mają te ptaszyny, a pomimo tych nieszczęść, pomimo że raz do roku tylko wywodzą

pisklęta, mnożą się liczniej niż inne gatunki, czego każda kolonia jasno dowodzi; zdawałoby się, że w przyrodzie nie mają prześladowców i nieprzyjaciół. Dodać tu muszę do różnych przykrości, jakie grzebiolki nawiedzają, ilość nieskończoną wszy, które trapią doskonale ptaki i pisklęta, iż te ostatnie często ofiarą ich zjadliwości się stają; w tych norach czasem tyle jest tego robactwa, że się całe gniazdo rusza; oprócz tych, co inne gatunki nawiedzają, mają właściwą sobie wesz i od nich nazwaną *Hippobosca hirundinis*, która im niemiłosiernie dokucza, a że w pracy ustawicznej, i to *quasi* w kopalniach, niema czasu myśleć o polowaniu na te goście, więc cierpieć muszą do czasu, w którym z pisklętami na wolność wylecą i odpoczywając na trzcinie, pierze do prawdziwej czystości doprowadzą.

W tym gatunku, jak i w poprzednich, trafiają się wdowcy, kawalerowie, którym się tego roku nie udało zdobyć samiczki; trafiają się, chociaż rzadko i tacy, których przeszloroczna samiczka złączyła się z innym: ci beżżenni z całą energią bronią zdobytych nor, wyczyszczają i porządkują, czekając na samiczkę; ci znowu, którym się nie dostało wygodne pomieszkowanie, sami z rzadką wytrwałością wykuwają sobie przez ich pobyt u nas wygodne mieszkanie, w którym przesiadują i nocują pewnie w myśli, że roku przyszłego, da Bóg doczekać, wprowadzą tam młodą grzebiolkę.

Twierdzą niektórzy autorowie zagraniczni, że grzebiolka ściele gniazdo często na skałach, w rozpadlinach starych murów, w dziupłach drzew, że zamieszkuje niekiedy blisko wody stojące domy i że nawet gnieźdzą się w opuszczonych gniazdach poprzednich gatunków. W moim zawodzie ornitologicznym lat ośmnaście nauczyło

mnie doświadczenie, że grzebiółki przeznaczeniem jest praca górnika i ta praca stała się dla tej ptaszyny koniecznością. Jeżeli przypadkowo zniesie jaja w inne miejsce, to czyni to tylko wyjątkowo. Zdaje mi się zatem, że powyższe twierdzenie zagranicznych autorów jest powtarzaniem jednych uczonych za drugimi, bez koniecznego przekonania się o rzeczywistości, że w innych krajach drugi podobny gatunek jaskółki skalnej (*Hirundo rupestris*) mieszano z grzebiółką i tak bałamuctwo powstało w opisach gnieźdżenia; nareszcie przypuszczam, iż to niekiedy zdarza się, lecz to uważam za wyjątkowy przypadek, przeciwny naturze tego ptaka, o którym można powiedzieć, jak o gospodarzach: *pracuj życie całe, grzebiąc w matce ziemi*. Zważywszy, że ta ptaszyna musi corocznie odbyć dwie dalekie podróże, wykopać głębokie nory, wychować pisklęta: zaiste, można ją stawiać za przykład ludziom!

W zwyczajach i sposobie życia podobna do jaskółek domowych; równie zwinna i towarzyska jak one, żyje gromadnie, lecz tylko między swojemi i niełatwo się brata z innymi. Zdarza się przecież, że w czasie odlotu pomiesza się z oknówką; czy na chwilę, czy się wiąże obietnicą na całą podróż, tego oznaczyć nie mogę. Szczególnie ma upodobanie latać w czasie deszczu. Czy woda wypłasza trapiące ją owady, które z pierza z łatwością strzepane bywają, czy świeże powietrze ożywia nasze górniczki, skazane tyle dni przesiedzieć w dusznym powietrzu pod ziemią — nie wiem; lecz tak u nas, jak i w innych krajach, nawet zaoceńskich, gdy deszcz niezbyt zimny, ptaszyny te przez godziny całe używają tej mokrej powietrznej kąpieli i w tym zwyczaju po-

dobne są do mew i jaskółek morskich. Od czasu Arystotelesa do Gmelina, Herberta i wielu uczonych podróżujących, to zbliżenie do mew jest znane — i tak w Grecyi, Malcie, na wyspie San Domingo zjawienie się liczne wesolo wirujących grzebiólek uważane jest za znak bliskiej słoty. Opisy tej ptaszyny, pozostającej przez zimę dosyć licznie na wyspach Malty i San Domingo, są zajmujące, szczególnie przez cechę prawdy, jaką noszą. W jesieni przylatują główne korpusy; część zostaje, jak się zdaje, starszych i wytrwalszych, inne lecą dalej ku południowi; przez całą zimę widzieć je można, jak tylko ciepło przy ruchu owady utrzymuje; gdy zimno głód zapowiada, kryją się w swe nory, które i tam sobie wygrzebują, i w letargu spoczywają, dopóki cieplejsza atmosfera znowu ich do obudzenia nie zmusi. Ten letarg, uważany na kilku wyspach, jest ważnem nader spostrzeżeniem, może być podstawą do zgłębienia podań o zimowaniu jaskółek pod wodą; przebywanie kilkotygodniowe w norach bez wychylenia główki nie może być inaczej jak przez letarg wytłómaczone, gdyż każdy praktyczny ornitolog odepchnie twierdzenie Buffona, który pisze: »że w zimnej porze chowają się grzebiółki do nor na kilka tygodni; muszą tam mieć dostateczną ilość owadów na pożywienie«. Najpierwej, jak się w tych norach mają pojawić owady? następnie skąd ta obfitość, aby wyżywiła gorące żołądki tych ptaków ustawicznie zgłodniałych? a nareszcie jakże możemy przypuścić, aby chowając się do nor kilka i kilkanaście razy przez zimę, zawsze tam znajdowały dostateczne pożywienie? Jeden z pierwszych ornitologów, uczony badacz Belon, w swem dziele ciekawe nam podaje szczegóły o życiu grzebiółki, która wszędzie, gdzie żyć jej przeznaczono, grzebie i, jak się zdaje, grzebać

musi; — a że na koszt rządu francuskiego podróżował po wielu krajach z wielką korzyścią dla nauki, wszędzie ją widział zimującą i gnieźdzącą się w ścianach, wszędzie jej nory spostrzegał, co dostatecznie potwierdza moje zdanie umieszczone w poprzednim zapisku. Między innymi ciekawość obudzającymi szczegółami opisuje w Romanii ścianę, w której razem z kolonią grzebiołek gnieździło się kilka par zimorodków europejskich (*Acedo ispida*) i kilkanaście żołą pszczołojadów (*Merops apiaster*). Można sobie ten obraz piękny łatwo wystawić, porównywując jaskrawymi kolorami ubarwione dwa gatunki ostatnich, przy smutnem szarem upierzeniu grzebiołek, gdy te wszystkie trzy gatunki w locie razem się mieszają pod promieniami słońca.

Grzebiołka zamieszkuje całą Europę i, mimo delikatności w swej budowie, leci wysoko na północ; spotykał ją Pallas w Syberyi licznie gnieźdzącą się w norach, w Norwegii i Szwecyi wywodzi pisklęta, spostrzegano ją nawet w strefach polarnych. Te podróże jedynie nadzwyczajną szybkością lotu i pracowitością nie do opisania przy grzebaniu nor wytłómaczyć można. Zważywszy, że później wszędzie przylatuje i wcześniej odlatuje niż inne gatunki jaskółek, bo jest nader czułą na zimno i krótki głód ją zabija; zważywszy też, że tyle czasu corocznie na kopaniu strawić musi: przychodzimy do przekonania, że gdyby nie była tak lotną i tak pracowitą, nigdyby w wysoką północ zalecieć nie mogła, ani też rodziny wychować i z nią ku południowi na termin naznaczony odlecieć.

Ktoby z czytelników moje opisy chciał sprawdzić, może to z łatwością uczynić. Grzebiołki wszędzie w Polsce znajdzie. Gdzie ściany strome, gliniaste i piaszczyste wszelkiego położenia, brzegi wysokie jezior i stawów,

brzegi rzek a nawet strumieni — wszędzie ślad podziurawienia spostrzec można; w potrzebie kopią nory w szerokich rowach i kanałach, w brzegach stawów i małych rzek tak blisko wody, że otwór ledwie o kilka cali jest wyżej, niż zwierciadło wody. Te to gniazda często wodą przybierającą bywają blokowane i często zalewane; widziałem już nawet takie miejscowości, że grzebiolka wlatująca lub wlatująca do swej siedziby, musiała brzuszek w wodzie umaczać. Roku 1841. powódź, w całej Polsce tak trafnie nazwana: *świętojanka*, i w mojej wsi ku końcowi czerwca szkody narobiła; mieszkałem wtedy w Brzeżańskim nad rzeczką, której wprawdzie książki geograficzne najczęściej nie umieszczają, ale która ma przecie płynącą wodę i tą wodą niepospolite psoty mieszkańcom płata. Rzeczka ta nazwana Koropiec od miejsca, w którym do Dniestru wpada. Miałem u siebie kilka kolonij grzebiolek co roku; szczęśliwie się wywodziły, więc też i w liczbę rosły. Nie było już miejsc w ścianach stromych i w wysokich brzegach, więc się mieściły jak mogły nad stawem i rzeczką; nawet i w groblach stawów grzebały swe nory. Jedna z tych kolonij dała mi znowu jasny dowód, że u ptaków doświadczenie niezawsze w pole idzie; że jak u ludzi, tak u nich jedne mają pamięć, drugie wszystko zapominają, jedne mają rozum, czucie i pojęcie, w innych zupełny brak inteligencyi spostrzegamy. Nad stawem w ścianie gliniastej gnieździło się do trzydziestu par, a że ściana była wąską, więc młodsze pokolenie przedziurawiło ją wszędzie i dziury były nad samą wodą. Deszcze, kilkanaście dni trwające, sprowadziły nagłą powódź wśród białego dnia, a że w większej części gniazd już były wykłute pisklęta, więc mało która samiczka zatopioną została,

lecz niestety! cała przyszła młodzież grzebiołek zginęła. Straszny to był widok tej srogo nawiedzanej kolonii! Latały grzebiołki ustawicznie przed ścianą, rozpaczliwie piszcząc, każda parka stawała, trzepocąc skrzydełkami przed otworem swego gniazda, jak gdyby wołała: moje biedne, biedne dzieci! i znowu szyła w powietrze ku pędowi wiatru uprosić, aby wody nie gonił; to znowu szyły ku niebu, by przebłagać gniew Boży. Wracały po chwili ku gniazdom, topiły wzrok w głębi nor zalanych i nareszcie siadały na wierzchu brzegu, bo już rozpacz siły nadwątlila, lecz to na chwilę tylko; nie-spokojność spocząć nie da, więc znowu latają, stają i piszczą żałośnie, to ruszą jak w rozpacz w głąb dżdżystego powietrza, zdawałoby się, że już nie powrócą, a tu po krótkiej chwili już znowu lamentują przed ścianą, srogo nawiedzone ptaszyny! I tak dzień ten straszny na ustawicznym ruchu zeszedł. Nad wieczorem jedne u towarzyszek wysoko wygrzebanych jam gościnne schronienie znalazły, inne na brzegu rzędem ustawione noc przedzierać musiały.

Dzień zajaśniał, Bóg swe dobroczynne światło ukazał, deszcz już w nocy ustał i woda pomału ustępować zaczynała. Co która jamka się ukazała, właściciele zacierają do niej, siadają na mokrym brzegu i po chwili lecą żalić się towarzyszkom, że do domu niema po co wracać. Nareszcie wszystkie otwory się pokazały, woda się wysączyła i kopalnie powysychały. Do niektórych włąziły odważne i wytrwałe grzebiołki i wyczyszczały jak mogły mieszkania; nie widziałem przecie żadnej parki, któraby utopione piskłeta wyrzucała. Inne stroniły od swych nor przez całe lato do czasu ich wędrówki, jak gdyby im żal nie dozwolił wypełnić bolesnego obowiązku

ujrzenia potopionych dzieci. Roku 1842. znowu opanowały tęsamą ścianę, mędrze posiadały wyższe otwory lub wyżej grzebały, pomne na zeszłoroczną klęskę, lub też wywędrowały, gdyż mniejszą później liczbę ich widywałem; głupsze wlały w nory nad samą wodą lub nisko sobie nowe grzebały. Tak to doświadczenie jednych uczy i umięją w życiu później z niego korzystać, innych nic nigdy nie nauczy. Tak i u ludzi bywa: ledwie z jednego nieszczęścia się otrzęśli, już brną w drugie, mimo że mają sposoby ochronienia się.

Śpiew ich mniej przyjemny, niż dymówki i oknówki, chrapliwe bowiem tony ustawicznie się powtarzają; ich ulubione *szer szer!* i *szer szer!* psuje harmonię. Jest ono głośnem dumaniem, z przerywanemi nutami, a jak gdyby wiedziały, że się nie mają czem popisywać, mniej i krócej śpiewają niż inne jaskółki; głos w trwodze lub wołaniu mają silny i donośny. Nic pociesniejszego, jak ich przygotowania do wędrówki. Jak już młode dokładnie do lotu wprawione i cała kolonia wychowała dziatwę (bo pierwaj żadna parka ściany nie opuści, taki węzeł solidarności razem je trzyma), wszystkie gromadnie odlatują jednego dnia w samym końcu lipca lub początku sierpnia. Jest to dla nich dzień ważny i świąteczny. Pożerowawszy rano gromadnie, uganiają przed ojczystą ścianą: każda ptaszyna zapiszczy i zaszczebioce, co tworzy hałaśliwy gwar; w niektóre nory wlatują i wylatują, powtarzając przez godziny całe to pożegnanie. Nareszcie coraz w gęstsze hurmy się gromadzą, wirują przed otworami jak komary, to w górę to w dół lecą wszystkie, aż nareszcie jedna lub dwie się odbiją w innym kierunku. Za temi lecą pewnie dzieci, dalej inne — i jak stojące wojsko, co się kompaniami

rozwija i dalej maszeruje, tak one pomału za pierwszymi oddziałami snują się i niebawem straż tylna znika. Otóż to było ostatecznym pożegnaniem wdzięcznych i tkliwych ptasząt. Niech nikt nie myśli, że to one już na wędrówkę lecą; bynajmniej, grzebiolki lecą na upatrzone już pierwszej stawy i jeziora zarosłe trzcina; tam nad wodą dzień cały bujają, a w nocy zasiadają gromadnie na trzcinie. Jeżeli przy gnieźdzeniu jest grzebiolka zajmująca, to pewnie równie zwróci uwagę na siebie w tych musztrach przygotowawczych przed daleką podróżą. W tej porze roku najwięcej owadów drobnych trzyma się przy wodzie i nad wodą i na samem jej zwierciadle pływa ich niepospolita ilość. To jest, powiedzialbym, *wypas* grzebiolek, wypas dla wycieńczonych rodziców, wypas dla skąpo karmionych młodych; jest im koniecznie potrzebny przed rozpoczęciem długiej i męczącej podróży w ciepłe kraje.

Może nawet myśliwi, na łódce polujący na kaczki, nie uważali tych harców zręcznych, tych powietrznych kąpieli, tych łowów na owady; zatopieni w zabawie, oczów nie zwracali na te wszystkie zachwycające ruchy, z których każdy jest prowadzony myślą i dążący prosto do celu; a cóż dopiero o ogóle mieszkańców powiedzieć, którzy mało kiedy rozróżniają ptaków gatunki i ich zwyczaje?

Gdy kolonia ku wodom emigruje, a ptaki trzymają się razem, mimoto badacz rozezna w tej kłębującej hurmie rodziny pojedyncze: — rodzice przodkują, dzieci wszystkie ruchy naśladują — i w tej gromadzie odznaczają się oddziały z 7 do 8 ptaków złożone. Przez dzień cały mieszkańcy kolonii dzielą się na mniejsze kompanie, a często rodziny zupełnie odosobnione; bywają i poje-

dyncze ptaki, które jak kuryery od stadka do stadka lecą, jak gdyby dawały i odbierały rozkazy. A w tym pędzie błyskawicy, trwającym cały dzień, nie zapominają o pożywieniu i, co na drodze, w pośpiechu porywają. Wszystkie te oddziały, jak gdyby miały już jasne dyspozycje, w pewnych obwodach dzień cały uganiają, niekiedy się łączą i znowu rozlecą, a na godzinę naznaczoną pełne subordynacyi stawiają się akuratnie, gdy jeszcze dzień jasny, a to z powodu trudności, na jakie napotyka z kilkuset złożona armia przy umieszczeniu się, bo wszystkie razem posiadawszy na trzcinie muszą przed nocą zaświergotać wieczorną modlitwę. Mało jest rozkoszniejszych widoków, jak rodziny grzebiółek w pierwszych dniach przybycia ich nad wody: dwoje starych leci naprzód, dzieci za nimi; napotkawszy koło wirujące owadów, najpierwej rodzice uderzają, a za ich przykładem młode; a że się przestraszone muszki rozbijają lub też w zbitej hurmie ku górze lub dołowi lecą, wymaga łowienie niepospolitej zręczności, a do nabycia jej instynkt ptaków nie wystarcza — i rodzice uczą każdego ruchu. W innem miejscu rodzina płynie spokojnie nad zwierciadłem z wzrokiem utopionym w wodzie, z regularnością maszyny. Wtem jedno z rodziców staje w powietrzu, wszystkie się zatrzymują, a gdy im rodzice wskażą pływające żyjątko, rzuca się jedno, dwoje — czasem i wszystkie dzieci, trącają się i w wodę dzióbkami sięgają. Chciwość rzadko do zaspokojenia życzeń prowadzi: i to się nieraz grzebiółkom wydarza; przez swą natarczywość dają czas robaczce do ucieczki. Wtedy uszykowawszy się w dawnym porządku, trzepocą chwilę nad wodą, żałośnie zaświergotają, bo delikatne natury lada przykrość zamarkoci, i dalej ciągną. Gdy znowu

kilka lub kilkanaście pajaków, muszek lub komarów pływa po wodzie, wtedy jak motyle nad kwiatów kieli-
chami kołyszają się i huśtają, brzuszki przy łowieniu maczają i w powietrzu wodę otrząsają, ruchem pompy cała rodzina podnosi się i zniża — do chwili, w której już nic na wodzie do łowienia nie pozostaje, więc dalej rusza, nie czując nigdy potrzeby odpoczynku. Między dwuskrzydlatymi owadami są gatunki z tak szybkim lotem, że ich okiem ścigać nie można; te muszki służą za cel i stają się nagrodą dla grzebiółek. Gdy która upatrzy brzęczący owad, zawoła na drugie i wszystkie na niego uderzają; albo go schwycą, nim uciekać zacznie, albo też rozpoczną się najzabawniejsze w świecie gonitwy. Mucha szyje prostą linią naprzód, to w bok uderzy, to w tył się rzuci, lub też ku obłokom tryśnie: grzebiółki goniąc tesame ruchy powtarzają. Lecz, że ich jest kilka, plątają się skrzydełkami i uderzają jedna o drugą. Zręczna mucha ginie im z oczów. Stają tedy w powietrzu chwilę, jak żołnierze na komendę. Jedna z grzebiółek znowu muszkę upatrzyła, zawoła na rodzeństwo i pogoń nowa się rozpoczyna, dopóki zmęczony owad nie padnie na wodę lub jaskółka go nie uchwyci. Która ptaszyna była najzręczniejszą i najzwinniejszą i uchwyciła to lotne jej pożywienie, ucieka z zdobyczą, a inne w swawoli gonią towarzyszkę. Są to prawdziwe igraszki, bo z paszczki jaskółki już nic wyrwać nie można. Latają tak w różnych kierunkach, dopóki się nowy jaki owad nie pokaże. Przed zachodem słońca cała kolonia na miejscu umówionem się zjawia, później druga i trzecia: już miryady grzebiółek razem się trzymają i kołują nad trzciną. Po chwili spuszcza się kilka lub kilkanaście i jak kwatery mistrze wybierają bezpieczny i wygodny nocleg; kołyszają

się i huśtają nad trzcinaą coraz niżej i niżej — nareszcie usiądzie jedna, dwie i więcej, a nie uznawszy miejsca za stosowne, zrywają się i dalej próbują łądyg trzciny (*Arundo*). Nareszcie siadają po dwie i trzy na jedną czasem i więcej trzcina, bo to próba, czy łądygi zniosą liczną a niespokojną drużynę, tymczasem reszta grzebiołek kotuje nad trzcinaą; te przygotowania do noclegu trwają i godzinę całą, tak są te ptaki ostrożnemi. — Gdy już kwatermistrzyni zaświadgocą, zapraszając na nocleg, cała hurma śpieszy usiąść. Lecz cóż się robi? Jak 3—4 usiądą na jednej trzcinie, to ta ciężar wytrzyma; lecz nierozważna młodzież siada bez porządku, jak to u nas bywa przy licznych kolacyach, i czasem rzędem 10—15 czepia się łądygi i nagina do samej wody. Spłoszone grzebiołki zrywają się i przeraźliwym piskiem popłoch na całe towarzystwo rzucają, wszystkie podlatują, szturchają się jedne o drugie. Już się ściemniło, więc się tworzy niepospolity nieporządek i trzeba całej przytomności i powagi przewodniczek, aby popłoszone ptaszęta do upamiętania nakłonić i znowu na łądygi sprowadzić. Już się wszystkie umieściły, zdaje się, że spokojność zapewniona, naczelniki okrążają obóz: tu pisań, tam zaświadgocą, muszą bowiem napomnieć, zadysponować i wszystkiego własnem okiem dojrzeć. Po tym przeglądzie i te zabierają się do snu. Siedzą spokojnie, już żadnego głosu nie słychać. Wtem nowy popłoch, hałas, burzliwe zrywanie się i świeże zamieszanie. Cóż się stało? Oto jedna grzebiołka, niewygodnie siedząca, chciała się poprawić i swym ciężarem nagięła łądygę do samej wody, siebie i towarzyszki zamoczyła, a wszystkie popłoszyła — i nowa reorganizacya musiała nastąpić. Często im się zdarza, że sokół kobuz, który tak lubi

późno w wieczór polować, po nieobfitych i nieudanych łowach uderzy na nocujące grzebiolki, a gdy spłoszy kilka, reszta się podrywa, żałośnie piszcząc goni burzyciela stawowej spokojności. Czasem ilość tych ptasich ciem przestraszy sokolika i ucieknie; czasem jedną porwie i wynosi się do lasu. Rzadko sokoła do tego głód przymusi; on zręczny i odważny, a większych ptaków nie braknie, gardzi więc tą odrobiną i w wyjątkowym tylko położeniu, co znaczy z próżnym żołądkiem, rzuca się na grzebiolki.

Przesiedziawszy na łódce lub na suchej kępinie tyle wieczorów do późnej nocy, przypominam sobie zawsze z prawdziwą przyjemnością te ciche, odludne miejsca, których oprócz mnie nikt z ludzi w tej chwili nie nawiedzał; sam więc wśród licznych ptaków, to czekałem na nadlatujące kaczki i cyranki, to znowu o polowaniu zapominałem, zobaczywszy igrające kurki wodne, poważne czaple, pełne zamyslenia bąki, nadlatujące hurmy szpaków i pliszek, szukających podobnych miejsc na noclegi, jak grzebiolki. W tej szarej godzinie, co tam zawsze było życia, a w tem życiu jaka mądra organizacya, co scen zajmujących, co za różnice między indywiduami tegosamego gatunku, tego żadne pióro opisać nie zdoła, a zaiste każdego ten widok zająćby musiał!

Wielu podróżujących rozgłosiło błędną wiadomość, że jaskółki drugi raz się gnieźdzą w południowych strefach przez zimę, a szczególnie twierdzili to o grzebiolkach, widząc, że w nory tam wlażą i z tychże wyłażą, jak w Europie. Każdy, kto obrachuje czas potrzebny na te dwie dalekie podróże, czas kilku tygodni, niezbędny do zupełnego wypierzenia się, w którymto ptaki wszystkie bywają cierpiące i o lęgu myśleć nie mogą; kto

wie, jak nasze wszystkie wędrowniczki dla pożywienia i odpoczynku dni i tygodnie na miejscu pozostają i znowu, głodem lub zimnem zmuszone, dalej lecą: ten pewnie wierzyć nie będzie, iż jaskółki za morzem drugi raz gnieździć się mogą. Ta drobna ptaszyna, polując dzień cały za żerem, nieskończoną ilość owadów wytępia i staje się nam nader pożyteczną; z przykrością więc widzimy po targach południowych miast tysiące grzebiółek złowionych w sieci i wystawionych na sprzedaż dla łakotnisiów, którzy dlatego, że one w jesieni są tłuszczem oblane, smażą je i pożerają nie dla pożywienia, bo go nie znajdują, lecz dla smaku! Jako ptaki gromadne i nocujące hurmami, w trzcinach łatwe są do złowienia: sieć dubeltowa, jako ściana postawiona w trzcinie, złowi większą część napędzonych z przeciwnej strony jaskółek. Sieć z wielkimi bardzo oczami, wisząca przy drugiej gęstej tak, jak do łowienia ryb, przepuszcza spłoszone ptaki, które uderzają o drugą i chcąc się wysuwać, plątają się długimi skrzydłami. Te sieci na wszystkie nocujące po trzcinach ptaki, jak jaskółki, pliszki i szpaki, są zaiste niebezpieczną bronią, bo gromadnie się zbierają zawsze na temsamem miejscu przez kilkanaście dni, a zatem podają łatwość zastawienia w pewnym kierunku tej ściany.

Kończąc niniejsze zapiski o jaskółce, przystąpię jeszcze do rozebrania kwestyi od tylu wieków dyskutowanej, odrzucanej i znowu wznawianej, kwestyi zajmującej niemal ludzkość całą od czasu skreślenia pierwszych liter; wszyscy autorowie o niej wspominają, wszyscy o niej słyszeli, a gmin każdego kraju ma o niej ciekawe podania. Mówić chcę o śnie zimowym tych ptaków czyli o stanie letargowym, o wyławianiu jaskółek przez rybaków sieciami, nareszcie o jaskółkach wyłowionych, które znowu odżyły.

W sen zimowy czyli letarg zwierząt ssących przez długie wieki wierzyć nie chciano, nareszcie dostarczone dowody oczywiste mogły każdemu ułatwić przekonanie; gdyż te próby na myszach, koszatkach, bobakach można było w pokoju odbywać, przez zimę kilkakrotnie do życia zwierzątko ciepłikiem przyprowadzać i znowu zimnem mroźnem usypiać na długi czas. W sen zimowy ptaków, czyli chwilowe trętwienie, ani jeden autor nowoczesny słyszeć nie chce, dalszych zaś badań nie robiono, mówiąc: *to być nie może*, aby ptak, z kompletnym systemem arteryj i z płucami potrzebującymi powietrza, mógł trętwić na kilka miesięcy. A przecież najdawniejsi i średniowieczni autorowie niemal wszyscy o tem wspominają, opierając się na podaniach

ludowych. W każdym europejskim kraju można u wieśniaków równo brzmiących wiadomości zaczerpnąć. Nie godzi się twierdzić z pewnością, że to być nie może, kiedy się nie ma niezbitych dowodów; a że ilość nieskończona tajemnic w przyrodzie pod grubą zasłoną spoczywa i wieki miną, nim je oko ludzkie odkryje: nie wypada nam z założonemi rękami a spoczywającym rozumem wątpić, a nie badać dalej i dalej. Z czasem Bóg nam może uchyli mgłę, zasłaniającą zakryte skarby przyrody.

Pliniusz wspomina o jaskółkach pod wodą zimujących. To twierdzenie towarzyszy nauce badawczej do tej chwili, w której ludzie postawili rozum nad wszystko i tym rozumem sądzić i pojąć chcą wszystko, nawet tajemnice Boskie, a czego ten rozum pojąć nie może, ze wzgardą odrzucają i potępiają. Linné, pierwszy systematyk z badaczy przyrody, mówi o jaskółce grzebiolce (*Hir. riparia*) „*aut in aquis hibernans*“; o jaskółce dymówce (*Hir. rustica vel domestica*) „*utrum aquis submersus*“; o jaskółce oknówce (*Hir. urbica*) nie wspomina, żeby miała pod wodą zimować. Nie rozpisując się wcale i nie tłómacząc bynajmniej tego zadziwiającego zdarzenia, umieszcza je jako wszystkim znane.

Nim przystąpimy do dalszego rozbioru tego tajnika natury, musimy tu nasze zdanie powiedzieć, iż uważamy w części te słowa Linnégo: *pod wodą zimujące*, w sensie innym, to jest: że u nas jaskółki zimują w Europie, a nie koniecznie pod wodą; po drugie, wytłómaczyć, skąd to twierdzenie powstało. Często rybacy po wylewie wód wylawiali z wody kupki jaskółek, szczególnie grzebiolek, które, jedne drugich pazurkami się trzymając, tworzyły nierozdzielny kłębek, a dostawszy się nad po-

wierzchnię wody, częstokroć do życia powracały i, jeżeli stopień ciepła dozwolił im znaleźć pożywienie, latały i z oczów znikwały; jeżeli zaś zimno było, wtedy biedne ptaszki z głodu i mrozu ginęły. Zdarzało się to wtedy, gdy rybacy wyłowili świeżo z dziur wypłukane jaskółki, któreby były później utonęły. Równie tak tłómaczyć wypada zdarzenia, opisane przez podróżujących marynarzy, którzy nieraz przy okrętach wyłowili jaskółki z wody, a te ptaki odżyły. Lecz to były jaskółki, które przeciwnym wiatrem lub podróżą zmęczone wpadły do wody, a ratując się pazurkami i długimi skrzydłami, wzajemnie się powięzały. Gdy rybacy wyłowili nieżywe jaskółki czyli potopione, odrzucili je na bok, nie wspominając wcale o tem zdarzeniu; a że grzebiołki jamy brzegów stromych gromadnie zamieszkują, łatwo pojąć, że fale wody, buchające do otworów, te gromadki nareszcie wypłokują, i że broniące się ptaki szukają ratunku jedne u drugich, chwytają się wzajemnie pazurkami i tym sposobem tworzą kłębek ptaków wyłowionych, o którymto kłębku tyle pisano. Również łatwo pojąć, dlaczego się to tylekrotnie powtarzało. Wylewy bywają po wielkich, długo trwających słotach, a że wtedy jaskółki dla zimna i braku pożywienia chowają się do nor, więc je prawie zawsze powódź w mieszkaniu zastawała i wypłokiwała. Widziałem naocznie jaskółki grzebiołki, wyciągnięte siecią z Wisły pod Krakowem w późnej jesieni (data w notatkach moich nie zapisana). Było ich kilkanaście, lecz do życia ich przywrócić nie zdołałem; niektóre już nawet w rozkładzie się znajdowały: oczywiście w kryjówkach nadbrzeżnych zalane, później przez wodę wypłokane i do rzeki zaniezione zostały. Rzeczywiście, rozum się wzdryga na myśl, że żyjątko z ciepłą krwią i płucami pod wodą niejaki czas

przy życiu pozostać mogą. Lecz że w przyrodzie wszystkiego pojąć i wytłómaczyć nie można, a tem mniej pod równe prawa poddać i tymisamymi argumentami dowodzić systematu życia jednych i drugich żyjątek: trzeba cierpliwie czekać oświaty, a sumiennie i wytrwale badać dalej, czekając odkrycia prawdy.

Przytaczam tu niektóre źródła wiarogodne nie dla poparcia mego twierdzenia, że ptaki pod wodą zimują, bo dotąd mniemam, że to są wyjątkowe zdarzenia krótkotrwałe, lecz żeby zwrócić uwagę uczonych, a nawet ogółu na potrzebę dalszego badania i przekonać, że niemal w życiu każdego gatunku żyjątek zdarzają się wyjątkowe natury i przeznaczenia, które wątpliwości pokrywają, a które są przecie rzeczywistemi zdarzeniami. Te to wyjątki najwięcej zajmują badacza. Thompson w swem dziele opisuje podobne zdarzenia i cytuje urzędowe potwierdzenia. I tak koło Ballantrae w Irlandyi nieraz widywał przez rybaków wyciągnięte, a zupełnie zmarznięte, nie okazujące znaku życia ptaki, z tymsamym organizmem, jak jaskółki, n. p.: Nury rdzawo-garliste (*Colymbus septentrionalis*), Maskonura mnicha (*Mormon fratercula*), a sieci były spuszczone do 180 stóp głębokości w morze. Pastré zaś mówi o gapie białym (*Sula alba*), że bardzo często zamrożony z morza wyciąganym bywa. Tak jedne jak i drugie do życia powracały w stopniowo powiększającym się cieple. Kto podróżował po północnych morzach lub czytał wiele raportów naturalistów i uczonych; kto zna ilość ogromną różnych nurkujących ptaków, nader lichemi narzędziami do lotu uposażonych, tamże przebywających w czasie lęgu, a porówna z tem nader małą ilość ptaków, przybywających na morze Bałtyckie w jesieni, a rozlatujących się po

kontynencie w czasie zimowym: temu mimowolnie na myśl przyjsć musi, że reszta ptaków, tak mało lotnych, musi znajdować na północy kryjówki i zimować w stanie i miejscach badaczom nieznanym; gdyż przypuścić nie możemy, aby w lodowatej atmosferze, dochodzącej do 40° mrozu, ptaki znajdowały w dosyć znacznych przestrzeniach cieplice i w nich pożywienie lub mogły oddychać tem zabijającym powietrzem? W zajmującym a nader rzadkiem dziele Leidenfrost z r. 1758., jest wiele opisów o jaskółkach, w otrętwieniu (*torpor*) zostających, a wyłowionych z wód lub znalezionych w jamach między kamieniami lub po dziupłach spróchniałych drzew. Dzieło p. Gaimard o Islandyi i Grenlandyi podaje nam opisy równo brzmiące z dziełem wyżej cytowanym p. Pastré. W tłumaczeniu niemieckiem z r. 1839. Gmelina o śnie zimowym zwierząt wiele myśli i zdarzeń wyczytujemy, które każdą, nawet wielce uspioną ciekawość zaostrzyć muszą; równie w poważnym bardzo dziele: Filozofia natury pana Smelié. Arystoteles w filozoficznym swem dziele mówi o śnie zimowym ptaków i zwierząt, dodając, że gdy słońce zimowe przygrzewa ptaki, one się budzą, latają i znowu w otrętwieniu (*torpor*) zasypiają. Arystotelesu zdanie jest nader ważne, służyć może za wskazówkę; on pierwszy nie upiera się w wyszukiwaniu dowodów na zimowanie pod wodą jaskółek, lecz twierdzi, że w otrętwieniu zimują po różnych kryjówkach w ziemi; również pierwszy przekazuje nam bystre spostrzeżenie, które się tylokrotnie potwierdziło, że w różnych miesiącach zimowych w Grecyi jaskółki na krótki czas się pojawiały i znowu znikaly. Nasz Gdańszczanin Klein te same spostrzeżenia robi; wierzy, iż jaskółki pod wodą zimują, mimo, że w ciągu pracowitego swego życia mało

dowodów zebrać mógł, lecz że częściej po kryjówkach licznie zebrane w śnie zimowym kilka miesięcy przebywają. Buffon, a po nim Cuvier przedłożyli raporty akademii paryskiej o jaskółkach, które 3—4 godzin były pod wodą i okazywały, wyjęte z wody, wszelkie oznaki śmierci przez zalanie wodą. Raz pięć, drugi raz siedm jaskółek wyjęto z wody w miesiącu wrześniu, obsypano je ciepłym popiołem; po trzech dopiero godzinach dostrzegli początek oddychania, lecz bez żadnego ruchu; w dwie godziny później ruszyły się jedne po drugich, otrząsały z pierza popiół, posunęły się nieco z miejsca, lecz tak były zmęczone, że wieczór i noc całą w nieruchomości przepędziły; rano dały się w rękach na okno ponieść i po kilku chwilach zaszczebiotawszy poleciały. Te jaskółki w czasie zimnej jesiennej słoty już bardzo osłabione do pokoju przyniesione zostały. Czyby to dla nas nie było wskazówką, że późno wykłute pisklęta z drugiego zniesienia pomału się do zimna i głodu przyzwyczajają, a nie mogąc już dla zimnej pory i braku owadów lecieć w dalekie kraje, w głębokie nory się chowają, tam trętwieją i zimę przepędzają? Pewnie ilość wielka jaskółek wytrzymać nie może tego letargu i już z kryjówek nie wylatuje, zaskoczona śmiercią spokojną; lecz przypuścić mogę, że inne ten czas letargu wytrzymają i nam się wczas na wiosnę pokazują.

Tym twierdzeniom zarzucają, że gdyby to się zdarzało, wtedy częstobyśmy gromadki strętwiających jaskółek znajdowali, a nawet w bliskości pomieszkań kryłyby się powinny czasami. To weale nie zbija zdania mego. Wiemy, że nory jaskółek bywają po stromych i wysokich brzegach, w miejscowościach w rozpadliny obfitych; niedostępne te zatem najczęściej miejsca niełatwo sprowadzą

człowieka. Jaskółki się tam chowają, częstokroć giną, inne na wiosnę wylatują, niektóre woda wypłucze, drugie ziemia zasypie, czasem nawet jeden duży kamień zasunie otwór i już po życiu miłych ptasząt! Człowiek pociąga wszystko pod jedno prawa, rozumem zgłębia, a czego nie rozumie, o tem wątpi i to potępia. Możemyż twierdzić, że wiemy, co się dzieje w głębinach niedostępnych lasów, w środku wiekowych, w próchno przemienionych drzew, w norach i rozpadlinach ziemi, w skałach popękanych i jamach gór lub w naturalnych jaskiniach, co się tam dzieje w zimowych miesiącach? Tam gdzie nie ma przekonania opartego na dowodach, tam gdzie przyroda pod tak grubą zasłoną kryje swe tajemnice, łatwo wątpliwości rzucać nie godzi się w nauce, w której mozolnie ślimaczym chodem zdobywa badacz, że tak powiem, odrobiny odkryć, a pracując całe życie, zgłębiając ustawiczną pracą tajniki przyrody, co rok się nowych, dziwnych, czasem niepojętych zdarzeń doczeka; w tej nauce po najdłuższem życiu, po najsumienniejszej pracy, gdy na brzegu grobu stanie, z pokorą wyrzeczy: Dzięki Tobie, Boże, za to, coś odsłonić raczył, ale wiem, iż moja wiedza o tajemnicach przyrody ma się jak ziarnko piasku do ogromu kuli ziemskiej!

Twierdzą, że niedźwiedź, świszcz, bobak, borsuk, koszatka i t. d. tyle w sobie mają tłuszczu, że im na całą zimę wystarcza za pożywienie. Z jednej strony krytykując to zdanie, musimy się zaiste zadziwić, iż do utrzymania życia przez pięć miesięcy dostatecznym być ma ten tłuszcz wylizywany z łap, *któryby się tam z całego ciała koncentrować musiał?* lub też jak u bobaków, które w kółko jedno blisko drugich się kładą i kupkę

nierozdzielną tworzą, emanacya wzajemna za pożywienie służyćby miała? Z drugiej strony widzimy ssące stworzenia, nie zostające w długim i ciągłym letargu zimowym, zabezpieczające sobie spiżarnię na zimę, jak jeże, wiewiórki, chomiki, niektóre gatunki myszy i t. d. Czegoż to dowodzi? Że jedne potrzebują pożywienia, a drugie w otrętwieniu, jak bez życia, zostają zimę całą; dalej, że jedne jak n. p. niedźwiedź w gawrze mają czucie i zaraz dają znaki życia, inne (i tych jest większa część) są, że tak powiem, zmarzniętymi bryłkami? Czyż twierdzenie o bobakach potrzebuje odparcia? Pewnie nie; lecz dla okazania, jak mało tej zajmującej kwestyi badań i poszukiwań poświęcono, jak mało ją rozbierano, już nie na podstawach anatomii i nauk przyrodzonych, lecz zdrowym rozumem sądem, wypiszę tu z mych notatek dwa zajmujące spostrzeżenia.

W roku 1834. pokazywano mi w Sabaudyi kilkadziesiąt sążni ziemi, do słońca leżącej, okolonej lodami okiem nieprzejrzanymi. Na tym kawałeczku kilka rodzin świszczów bobaków od niepamiętnych czasów żyje, młode wychowuje i w tej mikroskopijnej ojczyźnie życie pewnie bezprzykładne spędza; gdyż w roku całym dziewięć miesięcy jest śniegiem zasypanych, a na trzy miesiące lub cztery (w szczęśliwym dla nich roku) odkrywa się skała i ubarwia nędzną wegetacyą, która im służy za pożywienie. W Tatrach naszych znam podobne, chociaż nieco większe miejscowości, na których te zwierzątka żyją kilkanaście tygodni, na świat co roku wydają dorodne bobaczki, a 7 do 8 miesięcy w letargowym śnie przepędzać muszą. Zdaje mi się, że na podobnym chlebie tłuszczu zbytecznego nie uzbierają. Lecz tak, jak nie każdy niedźwiedź w gawrze całą zimę śpi, tak nie

każda rodzina bobaków przeznaczoną jest na tak długie otrętwienie; to dowodzi, jak życie zwierząt jest częstokroć wyjątkowe, jak się stosuje do okoliczności, nawet przypadkowych, jak często jest różna potrzeba pokarmu i ilości powietrza. Mam przekonanie, że gdyby do tych dwóch miejscowości przyniesiono z innych, mniej zimnych stref bobaki pod jesień, te z trudnością wytrzymałyby długotrwały letarg, do którego się nie przyzwyczyły. To nam dowodzi, że są już wyjątkowe położenia w naturze, których prawie pojąć nie można, że do tychże pomału żyjątko się przyzwyczajają i do okoliczności i potrzeby z przeznaczenia umieją czyli mogą się zastosować. Mnie zaś to przekonywa, że w przyrodzie wszystkiego pod te same prawa podciągnąć nie można i sądzić wszystkiego, opierając się na jednej podstawie, tem mniej, gdy dotąd z tajników zasłona nie spadła i my na niektóre zdarzenia wyjątkowe nie mamy dowodów, a jeżeli ich rozum nie pojmuje i dlatego potępia, będziemy zawsze krótkowidzącymi i bliżej błędu niż prawdy.

Tę naszą uwagę potwierdzają myszy i rodzaje z niemi pokrewnione; w tym samym gatunku jedne, znalazłszy obfite pożywienie i ciepłą zimowlę, nie trętwieją i nawet mnożą się, inne po jamach w uspieniu częściej zimę przepędzają.

Wiele bardzo raportów z różnych krajów miałem przed oczyma od roku 1770. do naszych czasów, w których były zapisane dni i miesiące pory zimowej, dowodzące, iż w listopadzie, grudniu, lutym i marcu pojedyncze lub w małych gromadkach jaskółki pojawiały się na krótki czas i znowu znikwały z widnokregu; zawsze była mowa o jaskółkach dymówkach i grzebiółkach, nigdy o oknówkach. Opisy z południowych wysp europejskich

zgadzają się na to twierdzenie: w zimie często bardzo jaskółki przylatują w ciepłych dniach, pobujają chwilę, a jak zimno chwyci lub ślota nastanie, znikają w okamgnieniu. Czy kto będzie miał odwagę wyrzec, że te ptaki z Azji południowej lub Afryki na spacer sobie kilkaset mil przyleciały i znowu spacerem odlatują? Pewnie, że nikt. Sam nieraz widywałem dwa pierwsze gatunki w drugiej połowie października i w listopadzie lub też na końcu marca i początku kwietnia. Te chwilowe pojawiania się jaskółek zawsze mnie dziwiły i już od lat wielu naprowadzały na tę myśl, że one w otrętwieniu wyjątkowo spoczywały, dalekiej podróży odbyć nie mogły, gdyż zimno i głód byłyby je nieochybnie zabiły; tem mniej przypuścić mogę, aby znikając mi z oczów na długi czas, one na powrót kilka tysięcy mil odlatywały w porze mroźnej, w której wszystkie owady w śnie zimowym pogrzebane bywają.

Raporta różnych podróżujących zgadzają się co do terminów przybywania jaskółek do ciepłych krajów: w Egipcie i w Libii w pierwszej połowie września, w Bengalu, Kanadzie, Senegalu i w Jamajce, na wyspach Kanaryjskich i przylądku Dobrej Nadziei najpóźniej do 6. lub 7. października; jakże wytłómaczyć możemy obecność jaskółek w naszym kraju w październiku lub listopadzie? Jak wytłómaczyć te pewne liczby tych ptasząt, latających w temsamem miejscu, dających ruchami i zwyczajami dowody, że to zawsze te same, a przecie znikające i pojawiające się na nowo? Przecie te ptaki nie mogły odbywać podróży dalekich i znowu powracać. Uwzględniając niesłychaną lotność jaskółek, a przypuściwszy nawet, że w 24 godzinach mogą odbyć 100 mil, jeszcze myśleć nie możemy, iż w jednym lub drugim

tygodniu polecą już nie do Indyj, lecz do Grecyi, Malty lub na wyspy Archipelagu i niebawem do nas powrócą. Twierdzą, że te spóźnione ptaszęta wszystkie głodową śmiercią giną. Pewnie, że wielką część ten smutny los spotyka; lecz gdyby te wszystkie, które widzimy, miały zdechnąć i to w krótkim czasie, gdyż głód i zimno w jednym lub dwóch dniach wszystkie zabiłyby musiał, przeciebyśmy je spotykali na różnych miejscach i o tem słyszeli: a kto w październiku, listopadzie lub marcu może nam złożyć na to dowody? Inaczej ma się rzecz z jaskółkami, gromadnie przybywającemi w kwietniu do naszych krajów. Wtedy słotne zimno często krociami je zabija, lecz czas otrętwienia minął, organizm rozbudzony trybem lęgowym, rozgrzany pożywieniem przyjętem, nie da się w jednej chwili do letargu, tego symbolu śmierci, przymusić — i wtedyto niemal na każdym miejscu znajdujemy ofiary niecierpliwych podróżniczek; dlaczegożbyśmy nie mieli ich zdybywać w tych miesiącach, które wyżej wypisałem? Łatwo zaiste wątpić, wątpliwością jak mgłą ciemną nakrywać to, czego zrozumieć dotąd nie możemy, a nader trudnem zadaniem śmiertelnika odkryć i na to złożyć dowody, co z woli Stwórcy przyroda w tajemnicy kryje!

Wielu autorów idąc w ślady za poprzednikami, szczególnież zaś za Kleinem, przypuszcza, iż niektóre jaskółki chowają się w kryjówce i tam się żywią żukami i ich poczwarkami, owadami lub ich jajkami. Kto spróchniałego drzewa trociny badał, kto przejrzał w jesieni rozpadliny ziemi i nory jaskółek, kto zna żarłoczność tych ptaków: pewnie z uśmiechem to zdanie potępi i odrzuci. Że ludzkość pracująca corocznie w odkryciach postępuje, co roku pewne zasłony zdziera, dowodzić nie

potrzebujemy; astronomia, nauki przyrodzone, chemia i fizyka codziennie potwierdzają, że niemało odkryliśmy, lecz że każdy sumienny pracownik ma otchłanie jeszcze przed sobą i w każdym zawodzie nie jedno życie strawimy, generacye zastępywać będą generacye, a tajemnic zostanie niemało do skończenia świata, których Bóg człowiekowi odkryć nie dozwoli, aby wiedział, że wszechwiedza jest Boską atrybucją, niezgodną z naszą ułomnością!

Cóżby w średniowiecznych czasach odpowiedziano na to twierdzenie, iż chemicznym procederem można człowieka uspić i strętwić do tego stopnia, że obieg krwi i oddech ustają? i że znowu tegoż człowieka fizycznym aparatem poruszać i trupy nawet do ruchu można przyprowadzać? Cóżby poprzednicy, badacze przyrody za zadziwienie okazali, gdyby usłyszeli, że niektóre ptaki bez zmiany pierza, bez starcia końcówek piór, przybierają inne kolory i że te kolory, potęgując jaskrawość, zmieniają w zupełności barwę tych ptaków, a to w tak krótkim czasie, że rozum tej metamorfozy pojąć nie może? O rzeczywistości tejże sam się przekonałem. To odkrycie zrobił lat temu 18 profesor Schlegl w Leydzie w Holandyi, sumienny i zacny badacz, którego imię pełne zasług przejdzie do potomności z laurami rzadkimi w naszych czasach, bo zdobiącymi odkrycie nie dające złota i srebra. Rzeczywistość tego zadziwiającego odkrycia sam licznymi dowodami poprzeć mogę, a mógłbym czytelnikom arkusze wypełnione przedstawić, dowodzące, z jakim niedowiarstwem i zazdrością odkrycie to w sąsiednim naukowym świecie przyjętem było, jak się autorowie silili na udowodnienie, że to być nie może i że wątpić wypada!

Jeżeli dotąd nikt doktorowi Schwedenbornowi nie zadał kłamstwa, że dziewczynę czternastoletnią na trzy tygodnie zamroził i znowu ocucił, że później tę ofiarę badań naukowych na dłuższy czas tym samym procederem uśpił i do życia powołał; jeżeli prorocy indyjscy (Santosy), na kilka miesięcy w ziemi zakopani na 3 do 5 łokci, potem zmartwychwstają i durzą łatwownych, iż boskość posiadają: wtedy mimo wstrętu rozumu w wiele rzeczy niepojętych wierzyć, a jeszcze więcej przypuszczać możemy. Na pierwsze zdarzenie mamy dowody w protokole akademii w Sztokholmie z roku 1845; na drugie wiele raportów wiarogodnych podróżujących, a najważniejszy w sprawozdaniu gubernatora Indyj, lorda Grey, który był osobiście przy zakopaniu proroka i przez sześć tygodni grób wojskiem otoczony trzymał, po którymto czasie wydobyto ofiarę i widział naocznie, jak stopniowo do życia przychodził i później kilka lat przy dobrem zdrowiu go zostawił.

Przejdźmy w inny świat żyjątek. Gaimard zamrażał ropuchy, polewając je na mrozie wodą i tworzył bryłę nieruchomą lodu; po czasie, jaki sobie wybrał, raz dłużej, drugi raz krócej polewał je letnią, dalej ciepłą wodą, i tak do życia i ruchu w 10 minutach powracał. Jak wiele tych zwierząt niejaki czas bez powietrza obejść się może, dowodzą ropuchy i żaby, zamurowane na lat kilka, a może i kilkanaście. Sam znam zdarzenie, iż ropucha przez trzy lata w murze, bez żadnej styczności z powietrzem, spoczywała wapnem przyrzucona i w tejsamej pozycyi odkryliśmy ją: z początku nie ruszała się, lecz patrzała na nas, po kilku minutach ruszać się zaczęła, po dwóch godzinach poszła sobie, pewnie szukać pożywienia! Wiele bardzo żuków,

równie owady i robaki, trzymać można godzin kilka pod wodą, byle je do tego stopniowo przyzwyczajać; później one odżyją. Nikt przecie nie powie, że prawidła przyrody przeznaczają wszystkie żyjątka do tego życia wyjątkowego, które niemal w każdej klasie napotyamy, a one je znoszą i tym sposobem śmierci unikają.

Do tej chwili moje doświadczenie niebogate w wody, mimo, że żadnej sposobności nie opuściłem w zglębieniu tej ciekawej tajemnicy; a mimo, że dwa razy znalazłem przepiórki i jaskółki dymówki w skostnieniu (*torpor*), które do życia powróciły, jeszcze z pewnością twierdzić nie śmiem, iż niektóre ptaki w tym letargu zimę całą przepędzić mogą. W połowie grudnia roku 1837. przyniesiono do dworu mego majątku, w brzeżańskim obwodzie położonego, siedm młodych, lecz wykształconych przepiórek. Znalezione je w dziuple spróchniałego buka, siedzące w kupce, z nóżkami ściągniętymi pod brzuszek, na obfitych trocinach; ptaki, które w tym stanie widziałem, były twarde jak kamień. Po kilku godzinach spostrzeżliśmy w ciepłym pokoju pierwszy znak życia w poruszeniu pierza całego, dalej odsunęły nieco skrzydła od ciała, drgać zaczęły w dalekich odstępach, nareszcie oczy otworzyły i mrugając jak do taktu, dzióbki otwierały; cały dzień pożywienia żadnego przyjąć nie chciały i spostrzegaliśmy wielkie osłabienie do drugiego dnia. Tesame zmartwychwstałe przepiórki puściliśmy w pole na wiosnę. W buku, ściętym 12. grudnia, leżało sześć jaskółek dymówek zmarzniętych zupełnie; przyniesione do pokoju, 4 pomału do życia powróciły, dwie zaś sen do śmierci zaprowadził; niestety, i tamte cztery po kilkunastu godzinach z głodu zginąć musiały, bo owadów nie było, a innego pokarmu przyjąć nie chciały. Dziś

surowo sobie wyrzucam błąd nie do przebaczenia, że nie zamroziłem kilku tych ptaków na nowo: byłbym miał skazówkę, jeżeli nie dowód na to, czego tak uporczywie szukam, a być bardzo może, iż w dalszem mojem życiu nie zdarzy się już znaleźć w zimowej porze strętwiałych ptaków. Nieraz mi myśliwi i wieśniacy podobne zdarzenia opowiadali, lecz bez dowodów na powrót do życia; gdyż, jak to pojąć łatwo, ile razy znaleźli ptaki otrętwiałe, rzucali je na bok jako zdechłe, i te rzeczywiście później już odżyć nie mogły. Jeżeli porównam organizm i obieg krwi ptaków z organizmem w letargu spoczywających ssących zwierząt, nie znajduję żadnej przyczyny, aby tak jedne jak drugie nie mogły w stan letargowy przechodzić. Już nie potrzeba dowodzić rzeczywistości *torporu* w wielu gatunkach czworonożnych żyjątek, jak równie tego, że jedne chwilowo trętwieją, inne na dłuższy czas i znowu się budzą; że te zasypiają, przy ciepłe oczy otwierają, pokrzepiają się powietrzem, tamte żeru szukają; że jedne przyjmują nieco pożywienia, drugie w letargu całą zimę przepędzają. Są znowu takie, które przy pewnym stopniu ciepła kryjówki opuszczają i żyją życiem naturalnem, a przyciśnięte zimnem, trętwieją. Napotykamy wszędzie wyjątki; wszakże śmiem twierdzić, iż są okresy krótkie, które zwierzęta ssące, gady i owady przespać muszą, i tylko przypadkowemi okolicznościami w terminie tym rzadko kiedy bywają przebudzane; że cała przyroda tak ściśle jest związana, tak szczelnie zamknięty tworzy łańcuch, iż idąc z ogniwa po ogniwie, można z ostrożnością daleko zająć i pewne dedukcye czynić, które późniejsi badacze, mając wskazaną przez nas drogę, potwierdzą lub sprostują. I tak n. p.

widząc ptaki otrętwiałe w grudniu, z tego gatunku, z którego towarzyszki dwanaście tygodni pierwszej Europę opuściły, przecie do życia ciepłikiem sztucznym przywrócone, można przypuścić, że tak, jak wytrzymały sześć lub ośm tygodni ten *torpor*, mogą w tym stanie do wiosny wytrzymać. Ptak, w ruchu będący bez pożywienia, po 24 godzinach żyć przestaje (wyjawszy dra pieżne), a zatem czy ptak ośm dni czy sześć miesięcy nie żeruje, a znowu do życia powołanym bywa, jest obojętnym zdaje mi się zarzutem. Ptaki, które w tym stanie widziałem, były tuste czyli mięsiste i tego wycieńczenia nie spotykałem, które z bolem serca uważałem czasem na czajkach, bocianach i czaplach w kwie tniu, gdy mróz ściśnie wodę, a śnieg pokryje ziemię; równie w opowiadaniach innych o chudości szkieletowej nigdy nie słyszałem.

Nieraz zadawałem sobie pytania, na które i dziś z pewnością niestety odpowiedzieć jeszcze nie mogę: jak n. p. przepiórki z późnego zniesienia w sierpniu, a czasem i we wrześniu, jeszcze w październiku niezupelnie wypierzone, a bywa ich u nas niepospolita liczba, szczególnie w gospodarstwach z wielkimi łąkami, suchymi i obszernymi łanami koniczyn, gdzie najczęściej pierwsze zniesienie kosa niszczy — jak te ptaki mogą odbyć podróże zaatlantyckie, kiedy niemal co roku ku końcowi października mróz chwyta i śnieg prószyc zaczyna? Jakże znowu mogę przypuścić, żeby te wszystkie późno wykłute ptaszyny skazane być miały na nieochybną śmierć i że w każdej jesieni krocie ich przeznaczone na zniszczenie? Czyż tak sądzić możemy o mądrym i miłosiernem gospodarstwie Bożem? Gdy w późnej jesieni spotykam te biedne przepiórczeta najpierwej rejterujące

z pola do bliskich krzaków, później do lasów, gdzie tak mało pożywienia znaleźć mogą: wtedy mimowolnie mi zawsze myśl przychodzi, że kryjówek szukają i pomalu w otrętwienie przechodzą.

Chróściel wodnik (*Rallus aquaticus*), równie jak inne owadożerne ptaki, odbywa co roku w jesieni zamorskie podróże, a przecie niemało ich pozostaje w naszym kraju przy cieplicach obszernych stawów i jezior, niedostępnych dla gąszczów, utworzonych przez odwieczne trzciny i szuwały; taksamo zimują w Grenlandyi, północnej Szwecyi, Norwegii i Islandyi. Te ciekawe i w swych zwyczajach mało znane ptaki, zajmowały mnie przez wiele zimowych miesięcy — i myślę, że ich życie porównać mogę z życiem letargowych zwierząt ssących. Gdy dzień był słoneczny i mróz ustąpić musiał przed promieniami południowego, tak krótko nam świecącego słońca, wodniki w gwarze i ruchu nieustającym godzin kilka przepędzały; w innych chwilach grobowa cisza panowała. Gdy znowu śnieg sypał czas długi lub mrozy w otrętwienie całą przyrodę wprowadzały i powierzchnia cieplic nawet ciężkim lodem jak szybą szkła się nakrywała, wtedy ani oko spostrzec wodnika nie mogło ani ucho słyszeć tych mi znanych tonów, tak podobnych do głosu wydawanego przez świnię (dla których Grenlandczycy nazwali tego ptaka: *ptakiem świnią*). Powietrze podobne trwa u nas czasem tygodnie i miesiące całe; co robią wtedy wodniki? Często umyślnie wybierałem wodę i szlamową ziemię z cieplic i badałem je sumienie: wprawdzie znajdowałem wiele poczwerek i ślimaczków, lecz nie tyle, aby przypuścić, że ta ilość jest w stanie wyżywić kilkanaście ptaków przecie znacznej wielkości; równie myśleć nie mogę, aby ptaki te tłukły

dziobami lód i szukały żeru? Cóż więc wnosić musimy? Że albo w otrętwienie ptaki te wpadają lub że się przy życiu utrzymują nieznanym nam sposobem.

Jeszcze tu jeden szczegół do tych zagadek dodać muszę; będzie on silnym bodźcem do badania tej tajemnicy. Przepędziwszy na wyspach północnego morza kilka tygodni, umieszczałem się zawsze w najodludniejszych stronach, aby gadatliwy człowiek nie przeszkadzał moim badaniom i poszukiwaniom, a ja zakryty abym mógł swobodnie przypatrywać się życiu mych lubych lotnych ptaków. Pierwszych dni października zaskoczyły mnie tak mocne i zimne północne wiatry, że się z wyspy ruszyć nie można było; dzieliłem więc biedę, zimno i niedostatek z ptaszynami srogo nawiedzonymi — i z niemałym zadziwieniem w ciągu mej podróży spostrzegałem pojedynczo lub gromadnie latające jaskółki grzebiolki i dymówki, w czasie zaś zimnym ani jednej oko spostrzec nie mogło. Gdy nazajutrz rozkielzane wczorajsze wiatry dać przestały, a ja się podkładałem pod wał przeciw falom morza wysypany, ujrzałem kilka jaskółek dymówek, wylatujących ze szczelin i rozpadlin między kamieniami; szturchając zaś stępem od strzelby, wygoniłem jeszcze kilka. Że te nory były kręte, nie mogłem się przekonać, czy tam jeszcze inne pozostały lub delikatniejsze już w otrętwieniu spoczywały. Pokazało się, że przy każdej zimnej słocie i na noclegi jaskółki do tych kryjówek się chroniły. Czy mi za złe czytelnicy i koledzy wezmą, jeżeli się przyznam, iż posądzam, że te jaskółki w tym wale zimę przepędzają, nie mogąc przypuścić, aby w tej późnej porze roku mogły się puścić w daleką podróż?

Czas już pewnie konkluzję tego wszystkiego wypisać i was czegoś nauczyć, a jakże tu z zagadki konkludować? Skromnie i z pokorą wyznać więc muszę, że nie z pewnością twierdzić nie mogę i że z zagadki w przypuszczenie przechodzę, z domniemywania wnioski czynię, a gorąco proszę i serdecznie pragnę, tak serdecznie, jak tylko miłośnik przyrody pragnąć może w swej nienasyconej ciekawości, aby ci, co o tej tajemnicy wiadomości jakie mają, łaskawie mi ich udzielili; do badaczy zaś się udaję, nawet do ufnych w potęgę nieomylnego ich rozumu, aby bez szyderskiego uśmiechu szczerze tę tajemnicę zgłębiali, a nie pisali o niej jak o bajeczce dla dzieci lub jak o baśniach z gminnych podań.

Nie mogę więc twierdzić, że jaskółki czyli pewna ich część zimują w kryjówkach naszych krajów, nie mogę tego przekazać potomności, jako owocu mych prac i doświadczenia, lecz przyznaję, że to przypuszczam i że dalej badać będę z całym poświęceniem te skrytości ciekawe; a co przez kilkanaście lat spostrzegłem, wypisałem tu jako wskazówkę dla późniejszych badaczy. Że się jaskółki do kryjówek chowają w późnej jesieni, te, które nie zdążyły z towarzyszkami w podróż się udać; że jaskółki, które widzujemy czasem w marcu i początkach kwietnia, nie przylatują z Indyj, bo zimno i głód tych podróży nie dozwolą; że wreszcie ptaki w pierwszych miesiącach zimowych z otrętwienia obudzone zostały: wierzyć muszę, chociaż to dotąd za wyjątkowe zdarzenia uważam; a biegnąc z przypuszczenia w przypuszczenie, czynić muszę wnioski, które nie napotykając opozycji w sądzie rozumu mego, rozdrażnić muszą ciekawość moją, a zaostrzyć chęć każdego badacza do pracy!

Pewnie sztuka lekarska w zamięłowaniu nauki, w chęci przyniesienia ulgi cierpiącej ludzkości, znakomite postępy uczyniła i niepojęte odkrycia zdobyła, a czy dziś może wyjaśnić letargi ludzi? Czy może powiedzieć, dlaczego cały organizm w ten torpor wpada i jak długo ten torpor trwać może? Czy dwa lub trzy dni letargu nie nasuwają nam myśli, że nieme groby dłuższe i straszniejsze letargi w tajemnicy chowają? W klasach ludzi, w których skomplikowane lekarstwa do rozkładu nie pomagają, w których człowiek umiera cicho i prędko, że tak powiem, znika bez hałasu i wrażenia, jak kwiatek z łąki, czy w tej klasie pełnej zdrowych soków, nie zepsutych ani sztucznymi, niezdrowymi pokarmami, ani aptecznymi truciznami, letargi krótsze i dłuższe zdarzać się muszą, o których akademie lekarskie nigdy nie słyszały? Mogą uczeni doktorowie twierdzić, że letarg dłużej nad 48 godzin trwać nie może; ja myślę, że w niejednym grobie prostaczka straszliwy dramat się odbywał — i my wtedy dopiero ujrzemy tę tajemnicę bez zasłony, gdy trąby archaniołów zagrzmia, a jeden o drugim wiedzieć będzie: co cierpiał, jak duszę oczyścił i jaką pokutą gniew Boży przeblagał!

Oprócz dawnych podań ludowych bez pewnych dowodów, oprócz ustępów autorów, częstokroć znacznych i wiarogodnych: nie mamy źródeł, w których czerpać możemy dochodzenia tajemnicy zimowania ptaków pod wodą; ja sam, mimo że tyle o tem słyszałem, nie zebrałem dotąd żadnego dowodu, a zatem nie mogę nawet uchwycić nitki Aryadny do tego labiryntu — lecz nie opierając wszystkiego na rozumie, na wszechwiedzy, której nikt nie posiada, odrzucić nie mogę tego, o czem

rozumniejsi ode mnie nie wątpili; a jeżeli nury i maskonury z pod wody przy biegunach północnych w zupełnym torporze wyciągane bywały i do życia przywracane, a ptaki te mają płuca i tensam obieg krwi: nie pojmuję, dlaczego przypuścić nie można, że inne ptaki w podobnych okolicznościach i miejscowościach nie mogą pod wodą zimować? Mój rozum, zgłębiając te tajemnice, wprawdzie na tę myśl wzdryga się i nie znajduje jednego argumentu do poparcia zimowania ptaków pod wodą, lecz znając ogrom tajemnic przyrody, niski stopień naszego wtajemniczenia, mądrość niezrozumianą Stwórcy w urządzeniu i w prowadzeniu olbrzymiego świata, z Arabem wykrzyknę w pokorze: Wszystko być może, Bóg wielki!

Co zaś do letargu ptaków, *organizmem tak do ssących zwierząt zbliżonych*, wyznać muszę, że niektóre dowody i tyle wskazówek prowadzą mnie do wniosku, iż rzeczywiście ptaki jak i zwierzęta w torporze zimować mogą; niektóre używają tu i ówdzie okruszynek pożywienia, inne bez obudzenia się do czasu wiosennego słońca i odzycia owadów spoczywają. Przypuszczam naturalnie, że są to *wyjatkowe* zdarzenia, lecz myślę, że kilkakrotnie na kontynencie co roku powtarzać się muszą; bo jakże inaczej twierdzić, widząc krocie ptaków odlatujących do ciepłych krajów i czytając równobrzmiące raporta o terminach przybycia ich za morza: znowu przypuścić tu muszę, że wielka część ptaków corocznie z drugich zniesień jaj tak późno wyklutą bywa, że podróży już dla zimna i głodu odbyć nie może.

Czuję ja dobrze, iż te wyjątkowe przeznaczenia dla żyjatek tejsamej gromady, tegosamego rodzaju, a nawet i gatunku, które udowodnić usiłowałem, straszliwie

razić będą mych kolegów, twierdzących, że pewne gatunki temisamemi prawami rządzone bywają i być muszą; lecz gdy się bliżej przyrodzie przypatrzą — ujrzą wszędzie wyjątkowe egzystencje; spostrzegą, że są tajemnice, których nasz rozum przebić dotąd nie może, i z pokorą wyznać będą musieli, że nam wiele do odkrycia pozostaje, a jeżeli dumny rozum wątpliwości hamulcem zatrzymywać nie będzie dalszych badań, pewnie potomność dowie się o tajemnicach, których dziś ludzkość przypuścić nie chce.

Mimo nienaruszonych, odwiecznych praw, rządzących światem od jego stworzenia, widzimy wszędzie tajemnicze wyjątki, których pojąć nie możemy — i na wargach drga ustawicznie to słowo grzesznego człowieka: *dłaczego?* Jak dzieci nie mogące pewnych myśli zrozumieć, dąsają się i sobą miotają: tak my, przy szronie na włosach, ogarnięci miłością własną, dufni w naszą wiedzę, wyteżamy wzrok umysłu, a gdy jasno nie stanie przed nami myśl szukana, z niepojętą zarozumiałością utrzymujemy, że jej niema, bo jej nie widzimy!

Nikt wyjątkowych przeznaczeń z przyrody wymazać, nikt wyrzec nie może, że niema tajemnic dla rozumu ludzkiego, a kto z sumiennych badaczy obroni się przeciw zwątpieniu, kto zgłębi prawdę i zbierze rzeczywiste dowody, nim wątpić zacznie, ten kroczyć będzie śmiało ku skarbowi tajemnic przyrody.



150
Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1062/I



100000000237